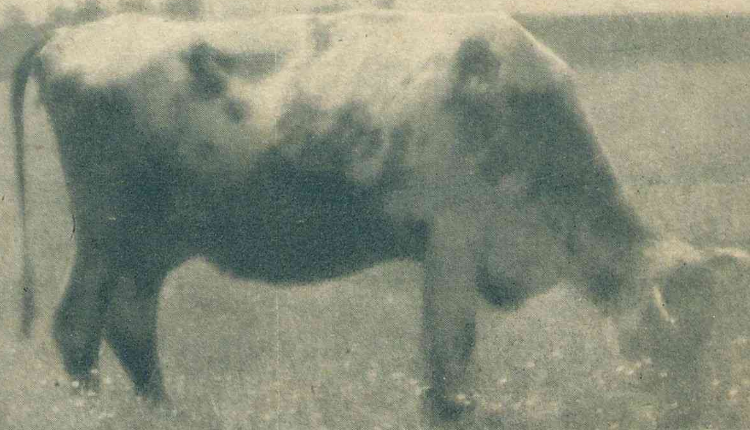
Nr.-16-18-IV-1931

ŚWIAT

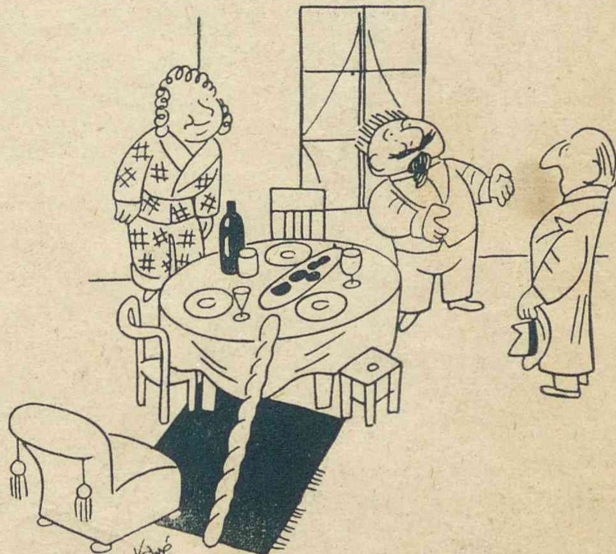




wiosna

FOT. PHOTO-PLAT.

HUMOR ZAGRANICZNY



— U nas, drogi przyjacielu, nie ma ceremonji. Ja włożyłem kurtkę, moja żona włożyła pyżamę, tylko kartofle są w mundurach!

(Le Rire)

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVI — ŚWIAT — NR 16

WARSZAWA, DNIA 18-go KWIETNIA 1931 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Psychologja bezrobocia

Przeżywając okres największego natężenia powszechnego kryzysu ekonomicznego, nie jesteśmy jeszcze w możności rozeznać się w jego skutkach w dziedzinie psychologji społecznej. To znaczy, że nie uświadamiamy sobie jeszcze, jaki ciężar życia przedźwigać musimy na swoich barkach. Podobnie było ze zjawiskiem wojny światowej: świadomość straszliwości przeżywanych wydarzeń i doniosłości dokonywujących się przemian społecznych była jakgdyby przytłumiona. Dopiero teraz, gdy od ostatnich strzałów bitewnych dzielą nas już lata, żywszą staje się świadomość, powstaje literatura wojenna i wywołuje powszechne, niesłabnące zainteresowanie.

Być może, z czasem i kryzys światowy stworzy obszerną i wszechstronną literaturę, podczas gdy dziś istnieje tylko zagadnienie, jedyne, jakie podświadomie tkwi w nas wszystkich: kiedy i jak się to skończy? Kiedy ustanie ta paradoksalna sytuacja, że jest źle, bo chleb jest tani, zastój w produkcji, bo robocizna jest niska, kredyt drogi — bo pieniądz, nie znajdujący zysków i dostatecznej rękojmi, chowa się gdzieś trwożliwie?

Tymczasem obok tych, prawdopodobnie przemijających zjawisk, wytwarzają się nowe, jeszcze nie zauważone prawie, nie opisane i nie obserwowane, a mające zapewne skutki bardziej długotrwałe i doniosłe.

Cyfry bezrobocia w świecie całym wyrastają w miljony. Świat staje się zaciasnym dla tak wielkiej liczby ludzi, że możnaby zaludnić nimi obszar sporego państwa. Nie brak dla nich chleba, niema tylko możności zatrudnienia ich.

Staje się najrozumniejszym odruchem, zażegnywującym niebezpieczeństwo — udzielać tym „zbytecznym" — zapomóg na przeżywienie. Bezrobocie wzrasta dotychczas powoli lecz stale. Bezrobotność staje się przymusowym zawodem, grozi wytworzeniem się nowej warstwy społecznej, upośledzonej, zniechęconej do życia, obcej jego sprawom, wrogiej samemu układowi tego życia, które zdaje się wymagać, jak chory organizm, przedewszystkiem spokoju i niezakłóconego trwania, aby nabrać sił i uleczyć się od wewnątrz, skoro żaden czynnik zewnętrzny w świecie nie może mu przyjść z pomocą.

W Polsce bezrobocie jest wprawdzie nieco mniejsze, niż w krajach wysoko uprzemysłowionych, jak Anglja lub Niemcy, lecz niemniej przeto dotkliwem. Rzesze bezrobotnych są zatrudniane niestale, niesystematycznie na stwarzanych ad hoc robotach ziemnych po miastach, tracą coraz swe dorywcze zajęcia; zasiłki wypłacane są niezawsze z całkowitą regularnością: repartycje funduszów na bezrobocie nie są rzeczą łatwą i zdarzają się opóźnienia, a stąd niepokoje, scysje, zatargi. Za armją pracowników fachowych, pozbawionych pracy w swoich zawodach, a więc klasycznych ofiar warunków ekonomicznych, ciągnie armja stałej biedoty, pracującej sezonowo, wykolejonej, znędzniałej, domagającej się swoich praw do życia.

Obok tego wzrastająca wciąż grupa bezrobotnych pracowników umysłowych, którą utrata pracy

wykoleja z normy życia jeszcze ciężej. Dalej — straszliwe w skutkach bezrobocie kobiet, na które czyha zawsze pokusa prostytucji lub niczem nie złagodzona otchłań nędzy.

Podobno w Anglji sprawa zapomóg dla bezrobotnych jest tak postawiona, że pozwala na wyjazd do tańszej Francji i prowadzenie skromnej lecz taniej egzystencji, która u nas jest dostępna chyba tylko kategorji „młodych emerytów".

Nie dorównamy nigdy bogatej Anglji nawet o tyle, byśmy mogli nakarmić i utrzymać przy życiu wszystkich naszych głodnych, pozbawionych pracy. Nie może nawet, nie powinna powstać taka sytuacja, by za cenę redukcji potrzeb mogła powstawać możność życia bez pracy. Niema zresztą o to żadnej obawy: istnieć będzie nadal nowoczesne piekło życia — gehenna bezrobotności. Obawa przed nią spędzać będzie sen z powiek i wisieć stałą groźbą nad głową każdego pracownika.

Do tego zjawiska, którego conajwyżej zmniejszać się będą rozmiary, lecz ono samo obiecuje towarzyszyć nam długie lata, nie należy podchodzić wyłącznie z uczuciem spółczucia i litości, jak do cudzego, indywidualnego nieszczęścia.

Uczucia nasze nie są nazbyt silne i nie nazbyt wiele na nich budować można. Obok niedoli i nieszczęścia zawsze rozwijać się będzie beztroska i wesołość szczęśliwych i niepokrzywdzonych. Śmiech będzie się rozlegał obok jęków głodu, hulaka i samobójca z nędzy miną się nieraz na tej samej ulicy. Natomiast błędem byłoby uważać bezrobocie za zjawisko wyosobnione, bez wpływu na całe nasze życie społeczne, umiejscowione gdzieś w nizinach społeczeństwa — i z którem nie mielibyśmy żadnego innego związku, jak przez spółczucie i pożałowanie.

Nie mówię już o tem, iż groźba bezrobocia wisi zarówno nad wszystkimi. Ulec mu może nietylko robotnik lub drobny pracownik umysłowy, kandydat do zapomóg z funduszów publicznych. Dyrektor zamkniętej fabryki, inżynier, prokurent lub buchalter zlikwidowanego banku, właściciel deficytowego przedsiębiorstwa lub sklepu — każdy wie, że rynek pracy jest przepełniony, popyt na pracę ustaje, przed każdym otwiera się groźba bezczynności, zjadania resztek, nagłego spadku stopy życiowej.

Kto dziś traci pracę lub zamyka własny warsztat, ten za regułę życia uważać musi całkowitą lub częściową bezrobotność, długie miesiące czekania, przewlekłe pogorszenie warunków egzystencji.

Obok rozległego zjawiska bezrobocia szerzy się o wiele rozleglejsze — obawy przed bezrobociem. Troska, niepewność przyszłości, pesymizm szerzą się coraz bardziej. Od tego niepewnego swego jutra człowieka, zaledwie mogącego przekołatać z dnia na dzień, żądają wszystkiego: aby kupował dla zwiększenia produkcji i — żeby oszczędzał dla zwiększenia kapitału. Przynęcić go usiłuje zarówno wystawa sklepowa, jak i ogłoszenia P. K. O. Społeczeństwo żąda od niego, aby wydawał, państwo — by płacił podatki, monopole państwowe — by nie pozbywał się swych nałogów, rozwaga — by pamiętał o czarnej godzinie, poczucie rzeczywistości — żeby się nie łudził, bo i tak ledwie koniec z końcem zwiąże.

Uprzytomnijmy sobie przez chwilę, że świat pracujący — to olbrzymia, przeważająca większość społeczeństwa i że od jego stanu zależy los i stan całości. W feljetonach, w teatrze, w potocznym dowcipie stwarzamy sobie wprawdzie fikcję jakiegoś górnego świata, który wieczory spędza w „Oazie", popołudnia w salonach, gra w golfa lub bridża, jeździ na zawody do Krynicy. Jest to tylko niewinna igraszka umysłu, fikcja taksamo dobra, jak „miłość hrabiny" lub kłopoty „miljonera". Nie istnieje w rzeczywistości żaden taki trwały ląd dobrobytu, o którego brzegi rozbijałyby się fale morza ludzkiej niedoli i niepewności losu. Jesteśmy czułym organizmem, w którym osłabienie jednych tkanek i atrofja innych — muszą odbijać się na stanie całości.



Każdy człowiek żyje wiarą w lepszą przyszłość, która dla ludzi bez majątku, żyjących ze swej pracy, przedstawia się jako trwała pomyślność, pewność warunków swej egzystencji. Pewien ekonomista angielski po wojnie zastanawiał się poważnie i nie bez racji, jak doniosłą zmianę w procesie gromadzenia się kapitałów może wywołać fakt spadku wartości pieniądza, gromadzonego drogą drobnych oszczędności, tych kapitalików na spokojną starość i na drogę życia dla dzieci, bez przerwy się oprocentowujących i stanowiących jakgdyby „pierog, który się stale zjada po kawałku i który ciągle narasta". Co będzie, jeżeli ludzie, którzy przez całe życie ograniczali swe potrzeby, aby stwarzać trwałe oszczędności, z których gromadziły się miljardy, pewnego dnia spostrzegą, że lepiej przejeść i zużyć te grosze, niż wystawiać je na ryzyko utraty w dalszej przyszłości?

Podobnie zarysowuje się dziś zagadnienie pracy. Wchodzą w życie młode pokolenia, kończące z trudem swe wyszkolenie zawodowe, w ciężkich warunkach, w ciasnych, przepełnionych izbach chowane. Wchodzą z tym upragnionym „fachem w ręku", który miał być ochronnym amuletem przeciwko temu „aby się nie zmarnować". Te młode życia odrazu wpadają w żelazny uścisk niedoli. Bezrobocie naprzemian przeplata się z okresami pracy, staje się nieodłącznym towarzyszem życia, groźbą stale wiszącą nad głową. Jak żyć, skąd wziąć siły do wywalczania sobie tej „pewności jutra", do osiągania czegokolwiek, jeśli przyczyny o sile katastrofy żywiołowej mogą udaremniać wszelki wysiłek utrzymania się na powierzchni? Mnożą się samobójstwa na tle braku pracy, powstaje osobliwa odmiana taedium vitae — znużenie bezrobociem, strach przed groźbą nędzy i próżni życiowej, braku wszelkiego celu.

Tępa pokora wobec losu, dopóki jest on znośny, poczucie bezsilności w walce o byt, trwonienie sił żywotnych w egzystencji z dnia na dzień, bez jaśniejszej przyszłości, przymusowe przerwy w pracy, niemożność założenia domowego ogniska,

Z DWUDNIOWEGO KONGRESU MARJAŃSKIEGO W KRAKOWIE



Prymas Polski ks. A. Hlond opuszcza kościół N. P. Marji po Św. Mszy pontyfikalnej

czarne chmury nad przyszłością — oto co się dzieje na „peryferjach bezrobocia". Kiedyż się zjawi socjolog lub badacz psychologji społecznej, który zechce zbadać doniosłość tych procesów psychicznych, które zachodzą w duszy rzekomo „zajętego sportem i pozbawionego idealizmu" pokolenia?

A same te miljonowe rzesze bezrobotnych? Psychika ich jest zjawiskiem, które nieodparcie narzuca się uwadze socjologa. Psychika zdemobilizowanego żołnierza, inwalidy, bohatera-wykolejeńca, odegrała już swą rolę w dziejach ostatniego lat dziesiątka. Włoscy „arditi", „fasci" zdołali wpłynąć na przebieg jednego z najdonioślejszych przewrotów politycznych w Europie. Związki byłych kombatantów, związki i federacje rezerwistów wyrastać poczęły gdzieindziej w skupienia, conajmniej równe co do liczby i energji partjom politycznym.

Bezrobotni w Niemczech zasilają szeregi ugrupowań skrajnych, lewego i prawego skrzydła, komunistów i hitlerowców. Cechuje je z obu stron brak koordynacji z istniejącą rzeczywistością, szukanie wyjścia poza-realnego, w przewrotach, w wojnach, w obaleniu istniejącego stanu rzeczy. W jakiej mierze odbiega od tego wzoru psychika ludzi w pełni sił, skazanych na bezczynność lub dorywczą i bezcelową pracę, inwalidów walki o byt — w innych krajach, u nas? Wszak jedynym czynnikiem, skierowującym na tę psychikę stałą uwagę, jest agitator wywrotowy. W grupach zawodowych, w związkach, czuć się oni muszą odrębną grupą upośledzonych, gotową walczyć lub oddawać się wzamian za wpływy, za poparcie, wyrobienie pracy. Jedno i drugie może być brzemienne w poważne następstwa.

Biegunowo odmiennem zjawiskiem mógłby być wzrost solidaryzmu społecznego w szczególnej, dotychczas przez socjologów nie ujętej postaci.

Poczucie zależności rynku pracy od szeregu oddalonych pozornie czynników ekonomicznych: od cen na zboże i zdolności nabywczych rolnictwa, od warunków kredytowych i obciążeń kapitału przemysłowego, barjer celnych, traktatów handlowych, dumpingu sowieckiego — staje się coraz żywszem. Wzajemna zależność zjawisk gospodarczych, gdziekolwiek zachodzą, względna solidarność interesów, które wydawały się w czasach stałej konjunktury całkowicie rozbieżnemi — stają się rzeczami zrozumiałemi niejako same przez się, tak głęboko przenikają w psychikę zbiorową.

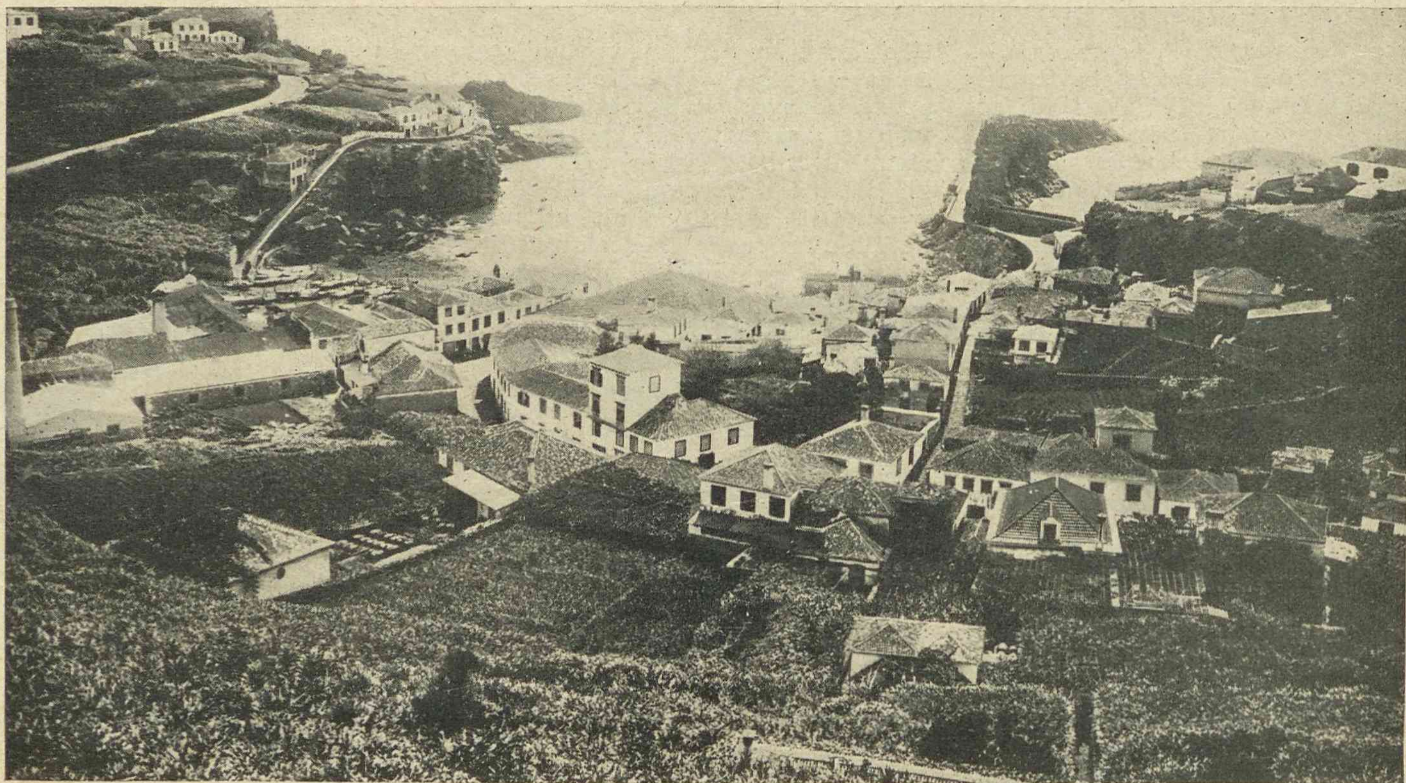
Ta więź poczucia spółzależności wątleje niewątpliwie i słabnie u wykolejeńca losu — bezrobotnego. Wytwarzać się musi całkowicie inne usposobienie psychiczne, którego dotychczas nie znamy.

Cóż za wdzięczny temat dla człowieka, którvby chciał poświęcić nieco czasu i obserwacji dla zapoznania się z kwestją bezrobocia nietylko z komunikatów statystycznych! Jak się naogół przedstawia sprawa pomocy bezrobotnym? Jakie ma formy, jakie są jej zasady i — codzienna praktyka.

Jan Dąbrowski



ROZBITKOWIE Z OKRĘTU „WIKING" RATUJĄ SIĘ PO KATASTROFIE U BRZEGÓW NOWEJ FUNDLANDJI, SKACZĄC Z KRY NA KRĘ. NA OKRĘCIE TYM ZNAJDOWAŁA SIĘ EKSPEDYCJA FILMOWA. 128 OSÓB URATOWANO, DWADZIEŚCIA KILKA UTONĘŁO



REWOLUCJA NA MADERZE: FUNCHAL, PORT NA MADERZE, ZABLOKOWANY PRZEZ DWA OKRĘTY WOJENNE PORTUGALSKIE. W TEN SPOSÓB RZĄD W LIZBONIE CHCE ZMUSIĆ REWOLUCJONISTÓW DO PODDANIA SIĘ

Wystawa jubileuszowa art. mal. prof. Zyg. Badowskiego w Tow. Zachęty Warszawskiej

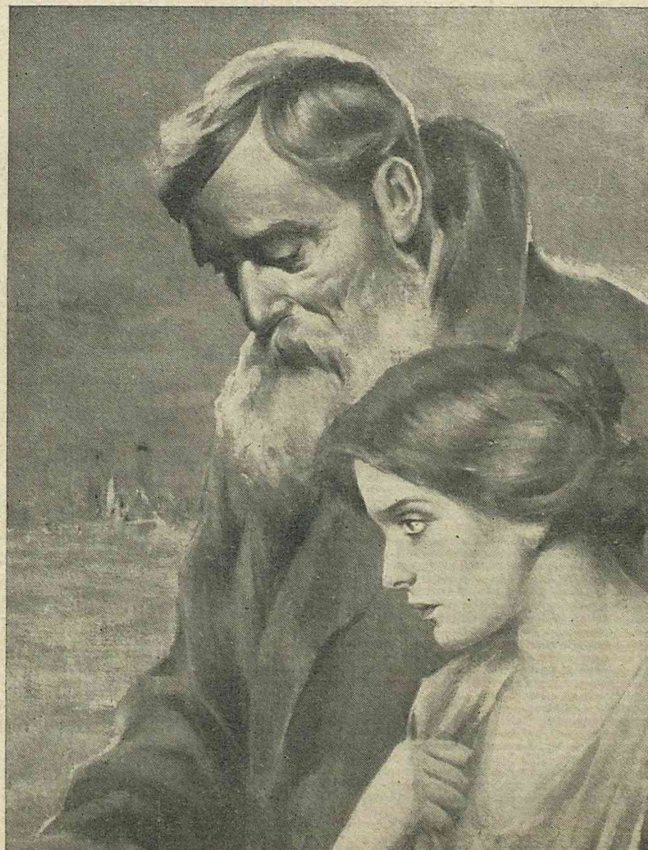


„Portret pani J. K."

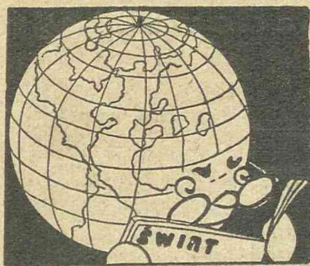
Fot. A. Janczewska



„Autoportret"



„Uchodźcy" Wspomnienie z r. 1915



TYDZIEŃ ŚWIATA

(A) Obcięcie płac urzędniczych dla ratowania równowagi budżetu państwowego stało się najważniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia. Wszyscy o tem mówią i myślą. Bo sprawa sięga daleko poza sfery urzędnicze. Te najprędzej pogodziły się ze swym losem.

— Trudno — mówił mi pewien referent ministerjalny. — Nigdy się u nas nie przelewało; będzie trochę gorzej. Ale gdy sobie pomyślę, ilu ludzi jest zupełnie bez pracy, ilu drży codzień, że ją może stracić, ilu nie ma żadnego zabezpieczenia na starość, to godzę się ze swym losem. Jakoś się wytrzyma...

— Czy u pana radcy dużo to wyniesie miesięcznie?

Zawsze około 70 złotych. Więc sobie myślę tak: kupowałem codzień dwie gazety — ranną i wieczorną; teraz poprzestanę na jednej za 10 groszy; da mi to 9 zł. oszczędności. Jeździłem w obie strony tramwajem z przesiadaniem się; teraz poprzestanę na zwykłych biletach i przejdę kawałek pieszo; — znów zaoszczędzę drugie 9 zł. Za dziecko w szkole muszę zapłacić tyle, co dawniej; nie urwę też nic na mieszkaniu ani na życiu. Zato mogę się wyrzec kupna rękawiczek, krawata, nie pójść do teatru i zredukować kino. Da to przeszło 30 złotych oszczędności miesięcznie. I tak obcinając różne „luksusiki", pokryję sobie całą redukcję...

Istotnie, każdy dotknięty zniżką urzędnik jakoś sobie poradzi. Ale jak te indywidualne ograniczenia potrzeb odbiją się w całej masie na polskim handlu, przemyśle, instytucjach kulturalnych, na prasie, teatrze, księgarstwie?

Kilkaset tysięcy ludzi zmniejszy dotychczasowe swe wydatki o kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Da to w rezultacie redukcję obrotu o grube miljony. Stagnacja, na którą wszyscy narzekamy, wzmoże się, krachy zostaną przyspieszone, protesty wekslowe — pomnożone, kryzys zaostrzy się.

I to stanowi najgorszy skutek 15-stoprocentowej zniżki poborów urzędniczych.

. . . .

(Old) Doniedawna Maderą interesowali się tylko polacy. Teraz stała się modna na całym świecie. Mała, piękna i spokojna wysepka awansowała na główne ognisko rewolucji. Marszałek Piłsudski w sam czas ją opuścił. Gdyby „Wicher" spóźnił się o jaki tydzień, mógłby 13-ty pułk infanterji kolonjalnej, który oddawał honory odjeżdżającemu Marszałkowi Polski, przybrać zupełnie odmienną postawę.

Ten to bowiem regiment o feralnej liczbie pierwszy podniósł bunt przeciwko gubernatorowi, pułk. de Leal, sprawującemu na wyspie rządy silnej ręki z ramienia dyktatury generała Carmony, piastującego urząd prezydenta rzeczypospolitej portugalskiej i generała Salazara, łączącego w swych rękach stanowiska premjera, ministra wojny i ministra spraw zagranicznych.

Madera, przybrawszy sobie legendarne imię Atlantydy, ogłosiła się ponoć niezależną republiką z generałem Cardozą, jako prezydentem i generałem Suza-Diaz'em, jako naczelnym wodzem. Z innych znów źródeł słychać, że szefem rządu maderskiego został pułk. Preiria, a głównodowodzącym powstańców pułk. Mendes de Reis.

Obawiając się, aby ruch rewolucyjny nie przerzucił się z wysp na metropolję, generałowie Carmona i Salazar polecili uwięzić w Lizbonie generała Morton de Mattos, b. ministra wojny i b. ambasadora portugalskiego w Londynie.

Słowem, sprawa odbywa się między generałami i pułkownikami, jak na prawdziwą dyktaturę przystało. Portugalja poszła śladami republik południowo-amerykańskich.

. . . .

(alfa) Na początku sezonu teatralnego poruszaliśmy sprawę niskiego poziomu artystycznego naszych teatrów operowych i zastanawialiśmy się nad potrzebą utrzymywania przez gminy miejskie aż czterech oper, i to w kraju tak bardzo niemuzykalnym, jak Polska. Do końca sezonu mamy jeszcze cztery miesiące, a już słyszymy o postanowieniach radykalnej zmiany w tych stosunkach. Opera warszawska obywa się przez cały sezon bez fachowego dyrektora, a historja z „Królem-kochankiem" stała się tak jaskrawym wyrazem kryzysu miejskiej gospodarki operowej, że magistrat postanowił za wszelką cenę pozbyć się bezpośredniej opieki nad teatrami. We Lwowie, który bardzo był przywiązany do swej opery i miewał dawniej sezony, któremi mógł się chlubić, dojrzało obecnie przeświadczenie, że gmina dalej prowadzić opery nie może i nie będzie. Już się z tą smutną myślą pogodzono. Magistrat poznański usiłował podtrzymywać byt opery przez dziesięć lat, w chwili jednak ciężkiego kryzysu obecnego postanowił zacząć oszczędności od opery, którą chce „odmiastowić" od przyszłego sezonu. Zrazu zamierzał objąć dzierżawę opery poznańskiej obecny jej dyrektor, ale i on zrozumiał, że przeznaczona przez miasto subwencja nie wystarczy i zamiaru swego zaniechał.

Mamy więc ostry kryzys operowy na całej linji. Nie oznacza on jakiegoś upadku „kultury muzycznej" w Polsce, bo tej nie mieliśmy przecież w wystarczającej mierze. Po prostu, pod wpływem złych konjunktur finansowych, nadszedł moment pewnego otrzeźwienia: niepodobna prowadzić racjonalnie oper, gdy się niema ani nowych wybitnych dzieł, ani doskonałych wykonawców, ani dostatecznej frekwencji.

Zresztą kryzys operowy ogarnął po wojnie wszystkie kraje europejskie. Skarżą się specjaliści operowi — Włosi, że nie mogą odświeżyć repertuaru z braku dobrych utworów; jednocześnie zaś narze-

LAUREAT NAGRODY M. ST. WARSZAWY



Zdzisław Dębicki, znany i ceniony poeta, krytyk literacki, publicysta, otrzymał nagrodę m. st. Warszawy za całożyciową działalność pisarską i obywatelską.

ZJAZD CHIRURGÓW W WARSZAWIE

W dniu 13 bm. odbył się zjazd chirurgów; obrady odbywały się w Szpitalu Dzieciątka Jezus

kają, że młodzi śpiewacy nowocześni nie są w stanie dźwignąć dawnego repertuaru. Obniżył się znacznie poziom operowych teatrów w Niemczech, chociaż rząd wydaje na nie z górą 40 miljonów marek rocznie. We Francji Izba deputowanych podniosła subwencję dla Opery z 800.000 fr. na 3.200.000 fr., pomimo to kryzys operowy wzmaga się tam z każdym dniem, a dyrekcja opery paryskiej skarży się, tak samo jak dyrektorzy włoscy, na brak dobrych solistów i brak nowoczesnych oper. Anglja nie przywiązywała nigdy większego znaczenia do opery i poprzestawała na dwumiesięcznem „stagione" w Coven Garden, teatrze bardzo drogim i niedostępnym dla szerokiej publiczności.

Miejmy nadzieję, że kryzys obecny pobudzi zarządy naszych gmin do głębszego rozważania sprawy operowej. Może nareszcie nasze miasta prowincjonalne zrozumieją, że nie mają obowiązku prowadzenia s t a ł y c h o p e r. Stanie się to z pożytkiem dla sztuki dramatycznej.

. . . .

(sk) Wynikł dziwaczny spór: czy Warszawa, stolica Polski, zasłużyła na odznaczenie krzyżem „Virtuti Militari", czy nie zasłużyła.

Warszawa, która walczyła już z najazdem Szwedów, która tyle razy zrywała się do walki z Moskalem, która była najżywotniejszem siedliskiem ducha patryjotyzmu, wytrwałości w oporze, uczuć niewzruszonych!.. Warszawa, która ofiarowała Ojczyźnie tylu szlachetnych męczenników!.. Warszawa w codziennem życiu nieco nadto wrażliwa, płocha, czasem nawet lekkomyślna, — ale umiejąca, gdy zachodziła potrzeba, zdobyć się na wielką powagę, na najwyższe ofiary, poświęcenia!..

Mnie się wydaje, że krzyż „Virtuti Militari", umieszczony w herbie m. Warszawy, zyskałby tylko na blasku...

Czterdziestolecie pracy artystycznej

Znany grafik i rytownik, Ignacy Łopieński, obchodzi obecnie czterdziestolecie swojej pracy artystycznej. W dorobku swoim posiada on mnóstwo prac portretowych, z których na wyróżnienie zasługują finezyjne obrazy, jak kompozycja „p. W. Zw.", „portret J. Franaszka", szkic, zatytułowany „M. M.". Ignacy Łopieński, jako rytownik, przyczynił się wielce do popularyzacji arcydzieł Matejki, Wierusz-Kowalskiego, Anny Bilińskiej i innych artystów. Znakomite grafiki Łopieńskiego, będące transpozycją artystyczną Matejkowskiej „Bitwy pod Warną", „Wyjścia żaków", wzbudziły w swoim czasie powszechne uznanie.

Wystawa, urządzona w lokalu „Polskiego Towarzystwa Artystycznego", przypomina wybitne zasługi Ig. Łopieńskiego dla naszej sztuki graficznej. Uczeń Gersona, studjował grafikę w Paryżu, Monachjum, równocześnie pracując, jako rzeźbiarz i rysownik. Współdziałał w wielu poczynaniach o charakterze społeczno-artystycznym. Wśród kolegów zdobył sobie dawno należne uznanie i szacunek. Krytyka artystyczna uważa go za „wznowiciela polskiej grafiki na przełomie XIX i XX wieku".



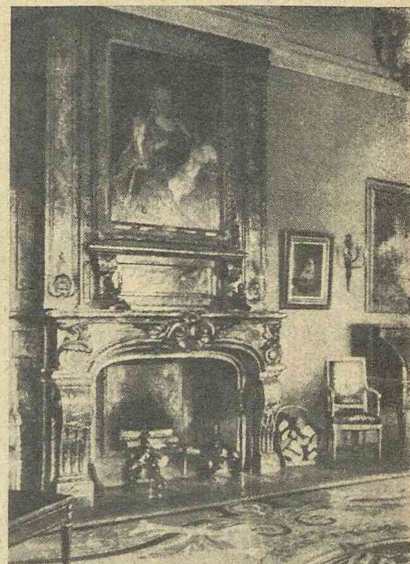
IGNACY ŁOPIEŃSKI

ŚLUB HR. PARYŻA, PRETENDENTA DO TRONU FRANCUSKIEGO

Syn ks. de Guise, hr. Henryk, dnia 8 b. m. zaślubił w Palermo księżniczkę Izabellę Orlean-Bragance. Hrabia Henryk jest pretendentem do tronu francuskiego, jego małżonka rozporządza prawami do tronu brazylijskiego. Książę de Guise ojciec w chwili obecnej reprezentuje wszystkie prawa Burbonów, syn więc jego hr. Paryża jest dynastycznym następcą tronu.

Monarchiści francuscy małżeństwo to powitali z entuzjazmem. Ślub zgromadził elitę arystokracji francuskiej, hiszpańskiej, portugalskiej, włoskiej. Na uroczystości tej był obecny książę Adam Czartoryski, spokrewniony z obu rodzinami. Hrabia i hrabina Paryża, jako narzeczeni, bawili w roku ubiegłym w Polsce. Byli gościnnie podejmowani przez naszą arystokrację.

Hrabia Henryk liczy obecnie lat 23, jego małżonka ma lat 20. Studja uniwersyteckie odbył na uniwersytecie w Louvain. Wojskowość teoretycznie i praktycznie poznał pod kierunkiem gen. de Gondrecourt. Na życzenie ojca studjował również rolnictwo. Wśród studenterji belgijskiej hr. Paryża cieszy się wielką popularnością. Jego małżonka odbyła również sumienne i wszechstronne studja. Posiada wdzięk paryżanki. Przed małżeństwem stale mieszkała w słynnym „Hotelu Lambert", posiadłości ks. Czartoryskich w Paryżu.



FRAGMENT REZYDENCJI BURBONÓW W BRUKSELLI



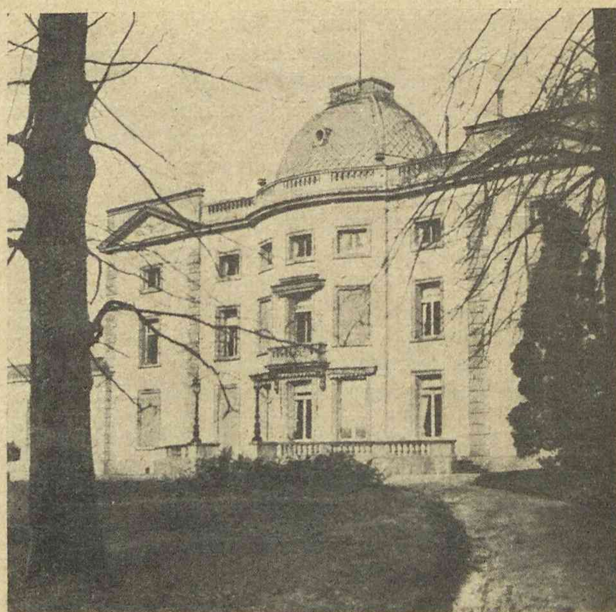
NARZECZENI: HR PARYŻA I KSIĘŻNICZKA IZABELLA ORLEAN - BRAGANCE, PODCZAS WIZYTY W POLSCE U KSIĘCIA A. CZARTORYSKIEGO



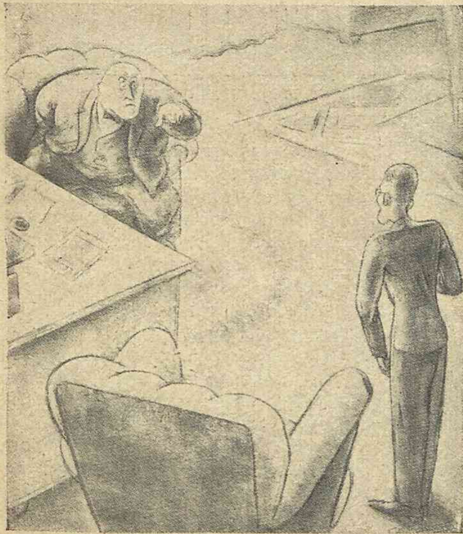
KSIĘŻNICZKA IZABELLA W SUKNI ŚLUBNEJ WELON Z RODOWYCH KORONEK. SUKNIA PRZETYKANA SREBREM



HR. PARYŻA NA WIZYCIE U SWEGO WUJA KSIĘCIA D'AOSTE W CAPO DI MONTE



FASADA PAŁACU „ANJOU", REZYDENCJI PRETENDENTA DO TRONU FRANCJI W BRUKSELLI



Życie jest skomplikowane

Że życie jest skomplikowane, o tem wiedzieliśmy zawsze, ale nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, że to skomplikowane życie tworzymy właśnie my!

My, to znaczy my — ludzie, nietylko mężczyźni oczywiście, kobiety bowiem najwięcej przyczyniają się do tej komplikacji, która już wszystkim stoi kością w gardle. I jeżeli tak dalej pójdzie, jak idzie dotąd, to, — proszę się nie przerażać, — ale niema co ukrywać — świat zginie, jak ruda mysz, a zginie dlatego, że życie urządził sobie człowiek zupełnie nie tak, jak tego pragnął, ale wprost przeciwnie, stworzył je takie, jakiego nienawidzi. I oto pierwsza komplikacja: marzenia sobie, rzeczywistość sobie. Weźmy pod obserwację maleńki ułamek tego życia.

Jest wieczór. Po całodziennej pracy człowiek wraca do domu, w którym oczekuje go ukochana małżonka z kolacją. Spodziewa się odpoczynku, wygodnych pantofli, ciepłego szlafroka, gorącej herbaty, odgrzanego kotleta z obiadu, na zakończenie transmisji radiowej z Bristolu, a potem pogodnego, równego snu. Tymczasem wdaje się w to wszystko jakiś nieproszony djabeł i co się okazuje? Ukochana małżonka poszła na dancing, szlafrok oddano do prania, w pantoflu kot zostawił swój bilet wizytowy, kotlet zjadł narzeczony służącej, a przez mikrofon radjowy w knajpie jakiś urżnięty inżynier wygłasza na cały świat propozycję, nienadającą się do powtórzenia.

Człowiek, żeby miał nerwy zahartowane na Pitigrillim, jeszcze westchnie, zaklnie, kopnie krzesło stojące na drodze i pójdzie spać wściekły.

Ale sen, kochany, błogosławiony sen, najistotniejszy, najwierniejszy pocieszyciel człowieka, obejmuje go w ramiona, rzuca na powieki ziarnka maku, zasnuwa mózg różową mgłą i pogrąża w słodką nicość. Człowiek wstaje nazajutrz wypoczęty i pełen otuchy.

— „Nie jest tak źle", — myśli, patrząc na ukochaną małżonkę, śpiącą smacznie w sąsiedniem łożu. — „Jaka ona ładna! Niech się bawi, póki młoda. Cóż w tem złego, że trochę potańczy z tym idjotą Kaziem? Przecież traktuje go jako fortancerza. Zwykły danser — nic więcej. Czy ona mogłaby mnie zdradzić? Ona, ten anioł? Nigdy! Człowiek śmieje się z podobnie niedorzecznego przypuszczenia i rozkosznie wyciąga się pod kołdrą. Jest mu ciepło i przyjemnie. O służącej myśli z wyraźną sympatją. Nie pamięta już oczywiście o kotlecie i narzeczonym. — „Bardzo dobra dziewczyna, przywiązana i oszczędna". W tej chwili kot wskakuje na łóżko, mrucząc.—„Co za przemiła bestja!" — myśli natychmiast człowiek, przesuwając rękę po wygiętym grzbiecie. — „Stanowczo życie jest piękne".

Jednocześnie patrzy w okno, za którem rozpościera swój bezgraniczny błękit jasne niebo i płonie gorące słońce. — „Czy świat nie jest wspaniały?" — zapytuje sam siebie ze zdumieniem. — Kto potrafi zrobić coś równie wzniosłego w swej prostocie, jak naprzykład drzewo okryte kwiatami? Albo zwykłą czerwoną różę? Już nie mówiąc o takich cudach, jak Smosarska, albo Greta Garbo!

Człowiek wstaje, aby nie obudzić najukochańszej małżonki, cichutko wynosi się do wanny w czyściutkim szlafroku, bierze letnią kąpiel i zasiada do śniadania. Za trzy kwadranse musi być w biurze. Ma więc jeszcze czas przeczytać gazetę. Świeże bułki roztkliwiają go. — „Co za doskonała organizacja!" Kochani ludzie, ci nasi piekarze! Pracują całą noc po to, aby ci, którzy idą pracować w dzień, mieli na śniadanie chrupiące rogaliki.! Życie jest piękne, życie jest jak raj!"

Z taką słodyczą w sercu rozwija gazetę i rzuca promienny wzrok na pierwszą kolumnę. Nim się zagłębi w treść artykulików, pragnie poznać przedtem ich tytuły. Cóż się stało nowego? Artykuł pierwszy: — „Nowa prowokacja Treviranusa". — „Niemcy chcą wojny z Polską". Drugi: „Sowiety przygotowują rewolucję światową". Trzeci: „Pięciu szaulisów napadło na wieśniaka, orzącego swoje pole, znajdujące się po naszej stronie i w okrutny sposób go zamordowało". — „Bomba w Madrycie". — „Trujące gazy". — „Bakterje dżumy jako nowa broń zaczepna".

— „Polityka zagraniczna jest okropna!" — stwierdza człowiek i patrzy na drugą kolumnę.

— „Trzech łotrów wyłudzało pieniądze od bezrobotnych na hulanki i pijatyki". — „Dwie dziewczyny wywiezione przez handlarzy żywem towarem". — „Morderstwo na weselu".—„Ojcobójstwo". — „Zamordowanie narzeczonej". — „Zabójstwo rabunkowe dla 15 złotych". — „Skandal w Operze. Do stodoły z taką operą". — „Panna Dwojra tańczy nago Ojra". — „Pobicie policjanta przez pijaków". — „Budowa nowych więzień". — „Zastraszający wzrost alkoholizmu". — „Nowy Polski film „Zniewolona". — „Tragedja młodego dziewczęcia, co zawierzyła uwodzicielowi".

Gazeta opada na stoł razem z omdlałą ręką człowieka, którego dusza pogrąża się w mroku.

— „Więc tylko to stało się przez dwadzieścia cztery godziny na całym świecie? Nic innego? To niemożliwe! Człowiek nie jest taki nikczemny"! — woła w duszy z oburzeniem.

Ma jednak nad czem myśleć cały dzień, a jego myśli błądzą między rzeczywistością a marzeniami i nie mogą sobie znaleźć miejsca. Patrzy na rzeczywistość i złości się. Jednemu z urzędników, który się spóźnił, pokazuje palcem zegar.

— „Ileż to razy na tydzień będzie się pan spóźniał, mój panie?" — krzyczy takim tonem, który sprowadza na grzbiet podwładnego ostre ciarki. — „Podam pana do dyscyplinarki".

Do panienki piszącej na maszynie zwraca się tonem suchym, wplatając niby od niechcenia do rozmowy okropne słowo: redukcja! Woźnemu, który przyniósł wilgotny cukier do herbaty, zapowiada natychmiastową dymisję. Wszyscy urzędnicy szepcą między sobą: „ta cholera pewnie złapała wczoraj żonę na dancingu z Fidrygalskim". Wszyscy bowiem wiedzą o Kaziu, który był ich szefem, dopóki nie dostał posady w Ministerstwie. I wszyscy mu życzą tego z całego serca, mimo iż zazdroszczą Kaziowi szczęścia do kobiet. Ale cóż znaczy nawet to, że Kazio będzie szczęśliwy, jeżeli z tego powodu Purgowski oszaleje ze zmartwienia. Nienawidzą tego człowieka, właśnie jego, który bez przerwy myśli o tem, że redakcje powojennych gazet wyławiają z ludzkiego życia same zbrodnie i łajdactwa, a to życie posiada przecież tyle wdzięku, tyle czaru, tyle słodkich, niezapomnianych do najpóźniejszej starości uroków.

— „Człowiek nie jest taki nikczemny"! — powtarza w duszy z uporem i wychodzi z biura, nie obdarzywszy nikogo najlżejszym uśmiechem. Wszyscy oddychają z ulgą. Nie wiedzą oczywiście o tem, że ich szef cierpi głęboko, gdyż do jego ludzkiego serca wkradł się maleńki odprysk tej straszliwej rozterki, która gnębi cały świat. Czuje się człowiekiem, a ciągle czyta o sobie, że jest zwierzęciem. I ciągle, ciągle, po trzy razy na dzień, otrzymuje zjadliwy zastrzyk tej trucizny i nie może zrozumieć, dlaczego ten sam człowiek, który tworzy życie, ginie pod jego ciężarem. I dlaczego nie stworzy sobie innego życia, które da mu spokój wewnętrzny, ciszę serca i pogodę duszy!

Z takiemi myślami wraca do domu, a przez drogę szturgają go łokciami i popychają, mimo iż niema tłoku. Na skrzyżowaniu dwuch ulic o mało co nie został przejechany przez taksówkę. Ledwo zdążył odskoczyć w bok. Nie tak szybko jednak, aby nie słyszeć okrzyku szofera: „Ślepy!" To go wyprowadziło z równowagi. Zaczął znikającej w oddali taksówce grozić laską. Niewiele brakowało, a przy tej sposobności wyrżnąłby jakiegoś jegomościa w melon. Skorzystała



z tego przechodząca dama w karakułach, rzucając mu w przelocie: „Idjota"! Zatrząsł się z wściekłości. Chciał biedz za nią, aby jej powiedzieć prosto w oczy: „klempa". Ale zbliżał się właśnie posterunkowy, patrząc na niego surowo. Pomyślał wtedy, że gdyby się wdał w jakąś awanturę z policją, jego podwładni w biurze nie omieszkaliby cichutko dać znać o tem do gazet. Za kilka dni czytałby nowy tytuł: — „Upadek kultury. Urżnięty urzędnik rzuca się z kijem na publiczność".

Opuścił głowę do ziemi i poszedł wolnym krokiem do domu. A wieczorem, kładąc się spać, znów myślał o tem, że człowiek nie jest taki nikczemny, tylko życie jest coraz bardziej skomplikowane. I że trzeba prawdopodobnie raz na zawsze pożegnać się z równowagą myśli i serca, bo w całej konstrukcji naszego życia istnieje jakiś fatalny błąd, który piękność egzystencji ludzkiej przeniósł do pogodnych snów, zostawiając jej istotę właściwą rzeczywistości, zanurzoną po uszy w bezsensie smutnego głupstwa.

Stefan Kiedrzyński

CO CZYTAĆ?

WSPOMNIENIA WIELKICH WODZÓW FRANCUSKICH

Ukazały się w polskim przekładzie „Pamiętniki" Ferdynanda Focha, zwycięzcy z wielkiej wojny narodów; marszałka Francji i Polski, wodza armji sprzymierzonych przeciw Niemcom. Pamiętniki te nie mogą nie zainteresować czytelników polskich, choć F. Foch, na przestrzeni dwóch masywnych tomów unika, jakby z rozmysłem, wynurzeń osobistych. Obserwujemy pracę i energję umysłu potężnego, wyszkolonego na najlepszych wzorach rodzimej kultury. Francuska jasność i konkretność znamionuje tu każdy sąd, nieznużoną czujność i przytomność na każde drgnienie rzeczywistości. Przy czytaniu tego pamiętnika w podziw wprawia rzeczowość: dygresje uczuciowe są wykluczone, przesłanek nie związanych z działaniami wojennemi niema.

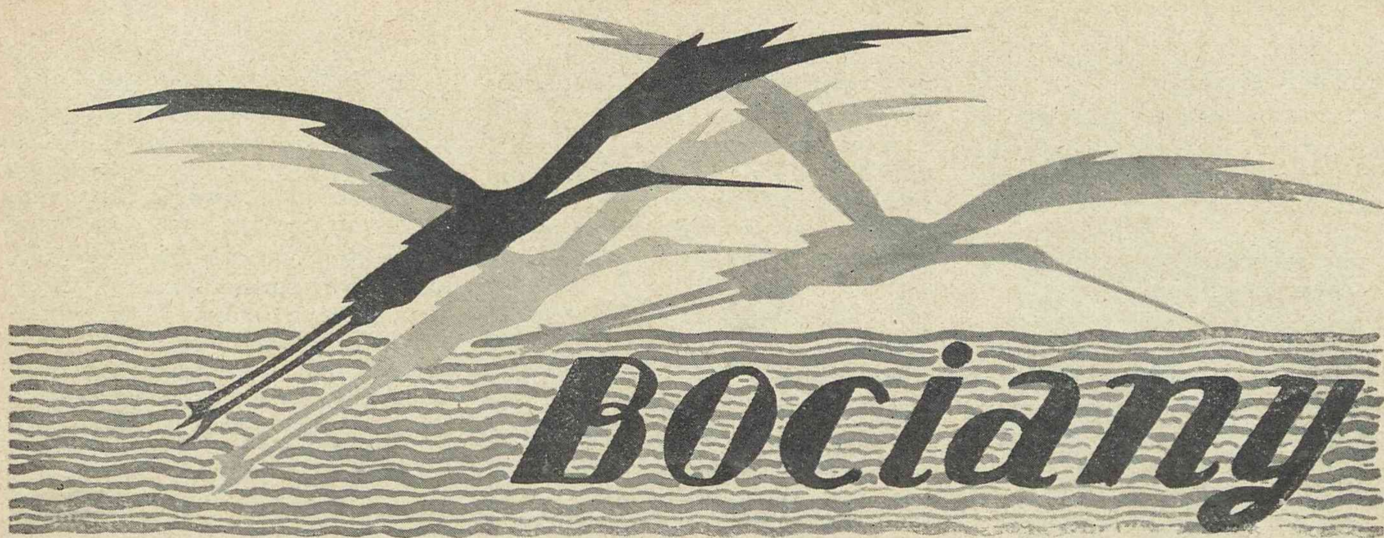
Foch, jako mentalność, jako aparat mózgowy, wykonywujący za armje pracę intellektualną, odzwierciadla się w tym pamiętniku bez osłonek. Jest to niewątpliwie jeden z najbardziej precyzyjnych umysłów, jakie wydała ludzkość. Dla wojskowych-specjalistów księgi te będą po liczne wieki przedmiotem zabiegliwych studjów. Laik staje w podziwie przed powagą i konkretnością jego umysłu. Ferdynand Foch, rozpoczynając wojnę, jako komendant XX korpusu w Nancy, kończy ją, jako naczelny wódz wszystkich armji sprzymierzonych nie przez szczęśliwy zbieg wydarzeń, lecz przez przewagę swoich intellektualnych walorów. Gdy wybuchła wojna, miał już zgórą lat 60! Przez okropne, krwawe ofiarne cztery lata musiał wydostać z siebie zasoby energji, jakich nie dawał dotychczas. Nie był jedynym znakomitym żołnierzem! Nie wysuwa się. Oddaje hołd Joffre'owi, Petain'owi, Fayoll'owi, Debeney'owi, Haig'owi, królowi Albertowi, J. Pershingowi. Góruje nad nimi nie wolą, bo każdy z tych wodzów jest uosobieniem decyzji. Bije ich przytomnością i jasnością umysłu.

Już podczas pierwszej większej bitwy w Lotaryngji w r. 1914 stawia sobie pytania, godne wielkiego mędrca. Chodzi o rozpoznanie rzeczywistości i zastosowanie odpowiednich środków, by nie dać się zaskoczyć wypadkom. Foch, jako strategik i taktyk, odrazu wysuwa się na czoło. Jego memorjałom daje ucho Joffre i przenosi go na miejsca zagrożone: wszędzie, gdzie Niemcy rozpętują huragan na froncie, staje Foch i niezawodną swoją obserwacją uniemożliwia im zwycięstwo. Jak świetnie zdaje on sobie sprawę z różnic taktyki, uzbrojenia, zaopatrzenia! Jak przeciwdziała, inicjuje, tworzy opór sprzymierzonych!

Dla umysłu, lubującego się w pięknie logiki, klarowności sądu, jego „Pamiętniki" będą nielada ucztą. Człowiek rozsądny znajdzie też w Fochowych wyznaniach potwierdzenie niejednej wątpliwości, jaką przeżywał podczas wojny. Naczytaliśmy się przecież tylu bredni, pochodzących od polityków, którzy wszystko wiedzieli w dn. 5 lipca 1914 r., że z najwyższym szacunkiem możemy powitać te męskie, prawe, mądre, skromne słowa marszałka Francji! On organizował zwycięstwo, wolą swoją wpływał i przesądzał bieg wydarzeń, nigdy jednak nie napomknie nawet, by bieg wojny był zgóry przewidziany. Ta męska skromność czyni jego pamiętniki wzorem rozwagi i powagi. Liczne mapy, załączone do tekstu, pozwalają i laikowi orjentować się w posunięciach wojennych i celowości zarządzeń.

Otrzymaliśmy równocześnie interesującą pracę marszałka Ph. Pétain'a pt. „Bitwa pod Verdun". Dla wojskowych jest to ciekawy podręcznik do studjów nad tą potworną, krwawą bitwą. Dla zwykłego, inteligentnego czytelnika książka ta jest źródłem poznawczem woli, inteligencji i zdolności mentalnych znakomitego wodza. Nie posiada on Fochowskiej żywotności, obrotności, bystrości. Jest jednak wielkim realistą i potężną wolą. „Bitwa pod Verdun" wstrząsnęła całym światem. Czyż jest inteligentny człowiek, któryby nie zechciał zapoznać się z jej rzeczywistym przebiegiem, gdy otrzymuje informacje oraz interpretację od jej kierownika, marszałka Ph. Petain'a?

E. C.



Właściwie była już panną na wydaniu, choć uważano ją jeszcze za podlotka. Panną z głębokiej prowincji, urodzoną gdzieś pod Lidą i nie wiedzącą o szerokim świecie, ani o jego życiu, ale nie pozbawioną wdzięku i nawet piękną. Trudno było określić, co ją wyróżniało z pomiędzy licznych towarzyszek dziecięctwa i młodości, a jednak musiało być coś w tem, skoro wybrał ją wspaniały kawaler, przybyły gdzieś zdaleka i wzbudzający podziw swoją wysoką postacią i bujną urodą.

Mimo tych zalet zewnętrznych starającego się i mimo niewątpliwie równych im zalet charakteru, jaki posiadał, nie zwracała nań żadnej uwagi. Znali się, naturalnie. Niejednokrotnie nawet odbywali wspólne wycieczki po okolicy, z których wracali zawsze przed zachodem słońca do jej rodzinnej zagrody. Ale o jakiemś większem zbliżeniu, o jakiemś żywszem uczuciu nie mogło być mowy.

Nie przejmował się tem zbytnio. Znał świat, przeszedł niejedno i umiał czekać. Pocieszał się zresztą tem, że słuchała go zawsze chętnie, ilekroć opowiadał o swoich dalekich podróżach. Im bliżej było zimy, tem z większą tęsknotą patrzyła w dal i tem ciekawiej słuchała.

I wreszcie kiedyś, o zimnym, wczesnym zmierzchu, postanowiła polecieć z nim razem hen, na południe.

— Do Egiptu!

— Do Egiptu? — to było bardzo, bardzo daleko. Nie mogła mieć pojęcia, jak bardzo...

. . . .

Nazajutrz odlecieli.

Prowadził ją, mocnemi uderzeniami skrzydeł spychając wtył przestrzeń, nad poszarzałemi polami, nad zczerniałemi w późnej zieleni lasami świerków i sosen, nad rdzawemi falami liściastych borów.

Kiedy skarżyła się, że mdleją jej młode, niewyćwiczone skrzydła, uczył ją, jak zawisać trzeba w łożu wiatru, z wyciągniętą szyją i dziobem celującym powyżej horyzontu, by, odpoczywając, pozwolić nieść się strumieniowi powietrznego prądu. Wieczorem wynajdywał noclegi i polował razem z nią na bagnistych łąkach, pozwalając jej chwytać żaby, które sam wyśledził w pracowitej wędrówce na swych mocnych, czerwonych nogach. Był dla niej miłym, nienarzucającym się opiekunem, co uważała za rzecz rozumiejącą się samo przez się i za co nie dziękowała mu nawet.

Tak przybyli nad morze, gdzie spotkali już wiele innych bocianów, oczekujących pomyślnego wiatru: to była najtrudniejsza część drogi. Nie każdy miał dosyć odwagi, aby w nią wyruszyć odrazu.

Oni jednak ruszyli zaraz nazajutrz.

Szła burza z północo-wschodu i morze marszczyło się groźnie. Strach wypłoszył ptaki z nad brzegów, że pochowały się gdzieś w okolicy. Ale przyjaciel lidzkiej piękności nie uląkł się burzy.

— Wiatr przeniesie nas sam — oświadczył.

I tak się też stało.

. . . .

— O, ciepłe i żyzne wody Nilu! O, urodzajne pola! O, rozłożyste wachlarze palm na ciemnym błękicie nieba! Rozkosze podniebienia: różowe glisty, węże giętkie a leniwe na słońcu, jaszczurki wypryskujące z pod kamieni, żaby drzemiące w rozgrzanem błocie! Cudowny kraju, oglądany na jawie, a niemal bajeczny! O — zagranico, po tysiąckroć doskonała!

Bocian nie podzielał w takim stopniu entuzjazmu swej towarzyszki.

— Towarzyszki? — Ce n'est pas le mot: wogóle przestała na niego patrzeć. Nie istniał dla niej:

— Bocian? — pogardliwie.

Pyszne, różowe flamingi zabiegały o jej względy. (Wyglądały, jak pokraśniałe ze wzruszenia łabędzie na wysokich nogach, tak były piękne).

Garbate, arcykapłańskie ibisy z minami wielkich wtajemniczonych ustępowały jej z drogi uprzejmie, jak gdyby była księżniczką krwi.

Złote bażanty i artyści powietrza — ohary w barwnych kostjumach z ognistych piór, prześcigali się w grzecznościach i komplementach.

Nawet arystokratyczne, dystyngowane, choć brzydkie pelikany, nawet wiecznie zadumane nad czemś, posępne marabuty i wysokolotne żórawie-agami zwracały na nią uwagę, z uznaniem kiwając głowami.

Jednem słowem — podobała się.

A więc:

— Bocian?! — z oburzeniem.

Nie uznawała żadnych sentymentów „ojczystych".

— Flirt, ach, flirt!

A przecież nie mogła flirtować z tym drabem... Złote bażanty i flamingi — tak, to była jej sfera.

On zajął się wobec tego sportem.

Ochłódł? Przestał się nią interesować? Nie: czekał.

Gdyby umiał gwizdać, zapewne gwizdałby na to, że piękność z Lidy (nigdy o tem nie mówiła, że pochodzi z Lidy; fi donc!) — że piękność z Lidy flirtuje z tą kolorową hołotą.

Może czasem kłuło to jego bocianią ambicję. Może nawet drasnęło go nieraz w serce. Ale nie okazywał nic po sobie.

Latał. Odbył kilka dalekich raidów do Assuanu, do złocistej Nubji i na północ, do białej Alexandrji.

Włóczył się po płytkich rozlewiskach, polował, zwiedzał kraj.

. . . .

Tak mijała zima.

Coś zaczynało się zmieniać.

Najpierw z bażantami: było ich coraz mniej w orszaku płochej młodzieży, otaczającej czerwono-czarno-białą kokietkę. Zainteresowały się ni z tego ni z owego samiczkami ze wspólnych gniazd.

Pocieszała się, że przecież zostało ich kilka, a zresztą zawsze wolała delikatne i wdzięczne flamingi. Ale flamingi były roztargnione i częściej patrzyły teraz gdzieś wzdłuż brzegów rzecznych, niż na zamorską znajomą, tak niegdyś miłą, pożądaną, interesującą i egzotyczną.

Wkońcu znikły jedne i drugie.

— Co się z nimi stało? — spytała znajomego marabuta, który był wprawdzie bardzo stary i łysy, a przytem pachniał rybią padliną, ale uchodził za wszechwiedzącego konesera.

Poważny ptak spojrzał na nią z pogardliwym uśmiechem (tak ją lubił dawniej...) i gestem zniecierpliwienia wskazał jej zarośla nadbrzeżne i zagajniki.

— Są tam — mlasnął lakonicznie grubym, brudnym dziobem.

Nie zrozumiała. Przeprowadzana ironicznemi (jak przez face á main) spojrzeniami starych arystokratów - pelikanów, poleciała nad brzeg rzeki.

Flamingi ścieliły gniazda!

. . . .

Wtedy z dziwnem uczuciem żalu i gorzkiej ciekawości poczęła patrzeć uważniej dokoła siebie. Ileż podobnych odkryć uczyniła w tym dniu zawodu i rozczarowania.

Dawni rycerze i eleganci, stworzeni — jak myślała — tylko do flirtu i beztroskiego lenistwa, pracowali nad przyszłością swych pokoleń, które miały nadejść. Inni, zakochani w brzydkich, najczęściej szarych samiczkach, mówili im słodkie głupstwa, zanosząc się śpiewem i własną wymową. Inni jeszcze walczyli o względy tych niepozornych samiczek, jakby zaślepieni bezrozumną, szaloną miłością. Wszyscy myśleli o swoich, *tylko o swoich* „pięknościach". Nawet niezgrabne marabuty, nawet pelikany, nawet znające tajemne misterja faraonów i arcykapłanów — ibisy.

Była teraz taka sama, taka opuszczona. Błądziła całemi dniami po bagnistych rozlewiskach, unikając o ile możności spotkań z dawnymi przyjaciółmi. Czuła się intruzem w tym pięknym kraju, który stracił nagle dla niej cały swój urok.

A potem zaczęła się tęsknota. Jak dawniej z nadniemeńskich łąk i smugów rwała się w świat nieznany, tak teraz chciała powrócić. Tylko nie wiedziała — jak? Bała się.

— Na północ! — ciągnęło ją na północ.

Ileż wahań, ileż niepokojów, trosk! Coraz dziwniej w sercu z tęsknotą splata się lęk przed czemś nieznanem a koniecznem. Lęk, nie lęk. Słodkie, mocne jak sam instynkt życia powikłanie uczuć. Nieznane, nie dające się określić, zaledwie przeczuwalne, a tak potężne — co? — nie wiedziała.

Pamięć przywiodła dawne obrazy: falujące łany zboża, wikliny i wierzby nad szemrzącym strumieniem, daleki las, — ach, las jakże inny, niż tutaj! Bogaty, gęsty, jak ciemnozielona ściana. Stogi na dymiących mgłą wieczorną łąkach, krzyże na rozstajach, wieś szeroko rozsiadła po obu stronach drogi i gniazdo na ściętym wierzchołku topoli...

— Gniazdo.

Zasobne, przestronne, mocne uwite, zasłonięte od wiatrów, ciepłe i przytulne gniazdo. Zasiąść na niem, poczuć się jego panią i opiekunką, gospodynią. Stać się matką, — karmicielką.

— Zasiąść na gnieździe.

Rwała się do lotu. Ale gdy spoglądała z wysoka na morze, rozkwitłe pienistemi kwiatami fal, opadał ją lęk. I znów długie godziny spędzała nad mętniejącemi wodami Nilu, w gorączce wahań, przeczuć, oczekiwań...

. . . .



Aż któregoś rana przyleciał, mocnym rozmachem krając przestwór w niewidzialne skiby — on. Jak zawsze pewien siebie, choć nie zarozumiały, jak zawsze silny, zdecydowany, mężny.

Wysoko, zdawało się, że gdzieś tuż pod delikatną łuseczką obłoków, położył się całą piersią w mistrzowski, głęboki wiraż. W lewo, pełne koło i nagle jednym ruchem mocnych skrzydeł — w prawo. Wykreślił jedną ósemkę, drugą, trzecią...

Potem wkręcił się w ciasny, zadziwiającą mocą lotek trzymany gwint pięknej spirali. Krążył z szyją wygiętą wbok, do wewnątrz zwojów, jakby chciał zacieśnić je bardziej jeszcze, zatrzymać schylone ku ziemi skrzydło, i obrócić się dokoła niego, jak na osi. Bolały go ścięgna, sprężone w wysiłku nadmiernym, ale nie zważał na to. Już nie leciał: wirował, wbijał się w przepaść regularnym ruchem przedziwnego mechanizmu swych skrzydeł, wklejonych między dwie warstwy opływu.

To, co robił, było akrobacją. Niedostępną sztuką dla flamingów, bażantów, czy marabutów.

I nagle, bez żadnego przejścia runął wdół, w ostry poślizg na skrzydło. Można było przypuszczać, że zderzy się z ziemią, tak szybko rósł, zbliżał się, olbrzymiał.

Nie: wygładził, wyrównał łuk glisady tuż nad wierzchołkami trzcin. Podgiął mocniej nogi, zwichrował skrzydła, spłynął nawprost, zmienił kąt, zwolnił.

Wylądował.

Nikt mu nie bił brawa, ponieważ nie był człowiekiem, a tylko wspaniałym pilotem - ptakiem, umiejącym wprawdzie nierównie lepiej niż człowiek odczuć piękno lotu, ale za to pozbawionym prawa do podziwu tłumu.

Odpoczywał na brzegu, nie patrząc na nią. Milczał. Ale ona wiedziała, że przygotowuje się do lotu za morze.

I kiedy wystartował, kierując się na północny zachód, tam, dokąd słońce posyłało w tej chwili wszystkie swe promienie — ruszyła co sił za nim.

— Czy mogę lecieć z tobą? — zapytała nieśmiało.

— Tak — rzucił jej przez skrzydło niedbale. — Tak, tak, tak — powtórzył, raczej z potrzeby radosnego klekotu, niż dlatego, aby ją upewnić.

Janusz Meissner

KSIĄŻKA W KOSZU

Niedawno prowadziłem interesującą rozmowę z pewnym wydawcą. Siedział właśnie przy biurku i ustalał cenę nowej książki.

— Ile? — zapytałem go, kiedy odłożył pióro.

— Dziesięć złotych.

Uśmiechnąłem się sceptycznie. Jakto, za książeczkę o 150 stronicach żądać 10 złotych!

— Któż zapłaci taką cenę!

Wydawca mrugnął na mnie łobuzersko i rzekł:

— Nie zna się pan na tem: ten, kto będzie chciał tę książkę kupić, zapłaci za nią każdą cenę. A jeśli jej nikt nie będzie chciał czytać, to i dwuch złotych nie da!

Paradoks! Dowodem — „Tani tydzień książki", który dopiero co odbywał się w Warszawie. Książka o nominalnej wartości 10 złotych, której i 100 egzemplarzy dotąd nie sprzedano, teraz po złotówce, „idzie". I jak „idzie"!

Szło zresztą literalnie wszystko. Poezja, ta niewdzięczna poezja, którą, zdawałoby się, wydają tylko Medyceusze i Mecenasi dla wielkopańskiego gestu, poezja, której rzekomo nikt nie kupuje, nikt nie czytuje, nikt nie chce znać — ta sama poezja była nieomal rozchwytywana.

Potem w rozmowie przeszliśmy na temat ulicznych koszów z książkami.

Sprzedaż uliczna książek po cenach niebywale zniżonych staje się zagadnieniem, które obchodzi nietylko wydawców i nieszczęśliwych autorów, ale staje się zjawiskiem znamiennem dla naszego życia kulturalnego. Z tego powodu wydało nam się interesującem zapytać kilku wybitniejszych wydawców i pisarzy, co sądzą o tej nowej formie kolportażu.

Oto odpowiedzi, które otrzymaliśmy:

E. M. S.

Dr. Jan Gebethner

Dyrektor firmy Gebethner i Wolff, p. Dr. Jan Gebethner, na zapytanie nasze, co sądzi o sprzedaży książek w koszach ulicznych, udzielił nam następującej odpowiedzi:

— Na sprawę ulicznej sprzedaży koszowej ja osobiście zapatruję się jako na zło konieczne. Nie uważam jej w każdym razie za objaw groźny dla księgarstwa, choćby z tego względu, że jedynie w bardzo rzadkich wypadkach w koszu ulicznym znaleźć się może książka dobra, przeważnie trafiają tam wydawnictwa, które nie znalazły zbytu w normalnej sprzedaży i stanowią już poniekąd makulaturę. Jeśli w poszczególnych wypadkach do takiego „kosza" trafia książka o pewnej wartości, to obecność jej w tym „koszu" zawdzięczać należy chyba tylko nieuczciwej polityce firmy księgarskiej, która w celach konkurencyjnych puszcza pewną ilość tych książek na „ulicę".

— Wszakże przyzna pan dyrektor, że tego rodzaju sprzedaż nie przyczynia się zbytnio do popularyzacji książek. Naprzykład, świeżo podjęty tydzień taniej książki...

— Sprawę „koszów ulicznych" z książkami reguluje poniekąd celowa i planowa akcja, zorganizowana przez Związek Księgarzy, mająca za zadanie popularyzację i udostępnienie książki, a którą to akcję ujęto w formę t. zw. „Taniego tygodnia". Akcja ta ma dwa cele:

1) umożliwienie publiczności kupna książki, którą cena normalna uczyniła niedostępną dla szerszych sfer, a która przy obniżonej cenie znajdzie chętnych nabywców, i

2) zapobieganie „nadprodukcji" przez umożliwienie rozsprzedaży po cenach znacznie zniżonych, co jest równoznaczne z działaniem w kierunku zmniejszenia się zapasów towaru księgarskiego.



JAN GEBETHNER

Wacław Grubiński

— Uliczne kosze z książkami wogóle świadczą o rozwoju czytelnictwa, są więc objawem pocieszającym. Kto kupuje książki w koszu? Ten kto nie ma pieniędzy na książki drogie. Jeżeli dobra książka droga nie znalazła nabywców w księgarni, czy to dlatego, że nieumiejętnie była zareklamowana, czy nieinteligentnie była oceniona przez recenzentów literackich, przeważnie bardzo słabo władających piórem, niechże idzie między czytelników dzięki zachęcającej niskiej cenie. Ludzie zamożni nie odznaczają się u nas, niestety, zamiłowaniem do gromadzenia książek. Bądź co bądź, tych miłośników książki jest między nimi niewielu. A są i tacy, co kupują tylko książki efektowne, ładnie oprawione, nie kupują po to, żeby je czytać, lecz żeby je mieć w oszklonej szafie bibljotecznej. Ten, kto kupuje książki w koszu, głodny jest czytania.



WACŁAW GRUBIŃSKI

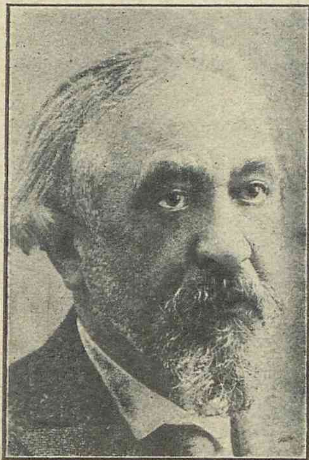
— Niewątpliwie jednak wydawca traci na książce, oddanej do kosza...

— Zapewne. Ale bez kosza traciłby na niej jeszcze więcej. A wreszcie niejeden autor, rozpowszechniony przez kosz, może się stać autorem pokupnym następnie i w księgarni. Takie tanie lansowanie książki przypomina lansowanie sztuki teatralnej przez masowe rozdawanie kartek. Zdarza się, że sztuka narazie nie przypadła do smaku publiczności. Tak było np. z genjalnym *Don Juanem* Zorilli w Teatrze Narodowym. Pierwsze przedstawienia były puste. Ale doping kartkowy sprawił, że po tygodniu przy kasie teatralnej zaczęły gromadzić się ogonki, i oto *Don Juan* zdobył olbrzymie powodzenie: przekroczył sto przedstawień z rzędu! Przedstawieniu teatralnemu, zarówno jak nowej książce, potrzebna jest żywa opinja. Tę opinję robi publiczność. Trzeba się o tę publiczność opinjotwórczą postarać. Dlatego mnie kosze uliczne z książkami, rzekomo zdeprecjonowanemi, nie gorszą i nie przerażają.

Jakób Mortkowicz

— Sprzedaż książek w koszach posiada dwie strony: 1) wydawniczo-handlową i 2) społeczną.

Co dotyczy pierwszej strony, wy-



JAKÓB MORTKOWICZ

znam, że wszystko przemawia przeciwko tej formie sprzedaży. Kosze dyskredytują autora. Kosz dowodzi, że autor nie „idzie". Jest to jawny, naoczny dowód niepopularności i niepoczytności autora. Na koszyki puszczają się wydawcy, którzy lekkomyślnie wydają mniej wartościowe rzeczy, szczególniej w dziedzinie przekładów, lub też ci, co znaleźli się w trudnych warunkach finansowych i, ażeby ratować sytuację, sprzedają za bezcen zapasy. Łudzą się oni, że im to pomoże... Kosze powodują deprecjację autora i książki. Wszak niepodobna wyprodukować książki według ceny, jaką ma ona w koszu!

Jeśli chodzi o drugą stronę sprzedaży ulicznej książki, to, niewątpliwie, koszyki zbliżają publiczność do książki. W Paryżu przed każdą większą księgarnią są standy książkowe, i publiczność stale oblega te stoiska, wyszukując odpowiedniej lektury. Tę rolę mają spełniać u nas koszyki, jednakże z tą złą stroną, o której wspomniałem w pierwszej części. Forma sprzedaży we Francji tych ujemnych cech nie posiada.

Zubożała inteligencja i sfery urzędnicze, które są dziś najliczniejszymi odbiorcami książki — pożądają taniej i dobrej książki, ale w tej cenie niepodobna jej wyprodukować, gdyż posiadamy zbyt małe nakłady i zbyt niewielką ilość odbiorców. Otóż „Tani tydzień książki", zorganizowany przez Związek księgarzy, ujawnił ów głód dobrej książki, gdyż we wszystkich większych księgarniach, które potrafiły dać dobrą książkę po niskiej cenie — był nieustanny i ogromny ruch. Ale było to ze strony wydawców pewną ofiarą ze swego majątku, gdyż wyprodukować nowe wydanie książki po cenach sprzedaży w „Tanim tygodniu" — jest niepodobieństwem.

Jerzy Kossowski

Mój Boże! Co ja o tem sądzę? — Hm, myślę tak: Byłoby bardzo dobrze i ogromnie z tegobym się cieszył, gdyby tych koszyków było (w samej Warszawie) — dziesięć tysięcy! Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby w każdym z tych koszów sprzedano dziesięć moich książek i gdybym od sumy ich ceny brutto otrzymał... 15%.

Niestety, koszów księgarskich — nazwijmy je tak pochlebnie — jest zaledwie kilkadziesiąt i niema w nich ani jednej mojej książki! — Starałem się dojść przyczyny. Straciłem nawet dosyć czasu na rozmowy ze sprzedawcami, ale nie-



JERZY KOSSOWSKI

wiele mogli mi powiedzieć. Okazało się, że sprzedawcy nie są przedsiębiorcami, organizującymi sprzedaż uliczną. Są tylko wykonawcami, wywoływaczami, inkasentami. — Kto tę sprzedaż organizuje — niewiadomo. Musi to być jakiś wielki finansjer! — Dalej, doszedłem do wniosku, że do koszyków wędrują przeważnie te książki, których nakład początkowy przekraczał ilość 10.000 egzemplarzy, podczas gdy, jak powszechnie wiadomo, pojemność rynku polskiego dopuszcza druk powieści i nowel przeciętnie poczytnych pisarzy tylko w 3.000 egzemplarzy. — I tu zdaje się jest tajemnica pochodzenia koszyków: sprzedaje się w nich resztki pozostałe po nasyceniu rynku, posiadającego ustalonych nabywców. Tu leży też tajemnica małych dochodów pisarzy: małe nakłady, zamałe! Zbyt mało ludzi w polsce kupuje książki. Nie stać ich na to, bo książka kosztuje od 5 zł. do 8! ba, nawet i 10 zł.!

Książki w koszach kosztują po 1 zł., najdroższa 2 zł. Na to może sobie pozwolić już bardzo wielu ludzi w Polsce. Nawet, co tu robić tajemnicę: ja sam kupuję książki w koszach! Tak, kupuję: nie mogłem sobie kupić przekładów Boya po normalnej cenie, nie mogłem sobie kupić np. takiego Ettingera „Zbrodniarza w świetle antropologji i psychologji", a dzisiaj te książki mam, i wiele innych też.

Nie wiem, czy „koszyki" czynią krzywdę wydawcom. Trzebaby tu zbadać: jakich autorów sprzedają koszykarze, czyje nakłady (firmy wydawnicze), no i skąd koszykarze czerpią swój towar, bo przecie nie kradną!

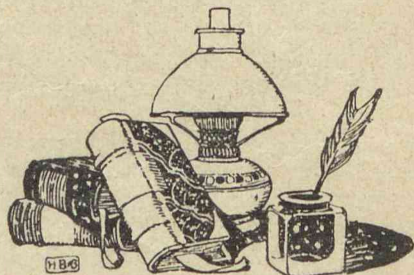
Jeden z koszykarzy, który zatrzymał się ze swym wózkiem przy ul. Skorupki, powiedział mi tak:

— Gdyby dla księgarń koszykowa sprzedaż była szkodliwa, toby nam książek sprzedawać nie pozwolono. My sprzedajemy tylko to, czego nikt w księgarni nie kupi, a sprzedaż w koszykach da zawsze więcej, niż sprzedaż na makulaturę, na wagę.

Zdaje się, że... coś w tem jest!

Pozatem, o ile sprzedaż koszykowa nie podcina bytu księgarń i firm wydawniczych, wpływa — zdaje mi się — na zdemokratyzowanie książki, na rozszerzenie czytelnictwa, przyzwyczaja do kupowania książki. A wiadomo, że najpierw kupuje się książki tanie, później coraz droższe. Byłbym za tem, żeby powstały nawet bibljoteki uliczne. Wiem, że będzie to dosyć trudne do urzeczywistnienia u nas, gdzie tyle lat się namyślamy nad bibljotekami gminnemi...

(D. N.)

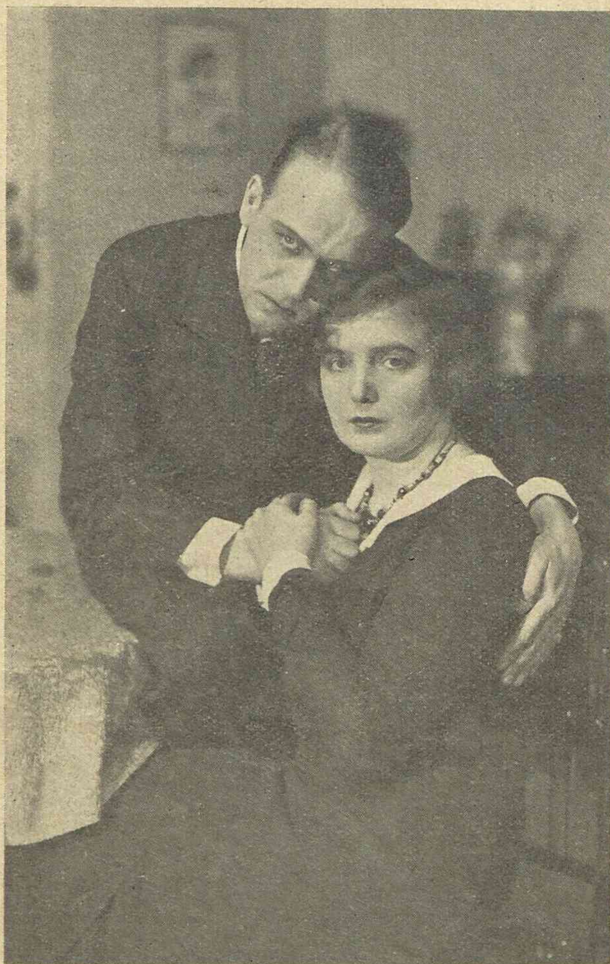


Wiosna w Kalifornji: zgórą 100.000 osób korzysta z plaży

Sezon plażowy w Kalifornji

Wyścigi prosiąt, jako atrakcja rozrywkowa, dla gości na plaży „Wenecja" w poł. Kalifornji. Chwila przed startem

Fot. „The New-York Times"





WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: TOMASZ (ŁUSZCZEWSKI), MONIKA (GROMNICKA), KSAWERY (WĘGRZYN), BRONKA (LINDORFÓWNA)
Fot. J. Malarski

Dzień jego powrotu

P. Zofja Nałkowska w sztuce swojej pt. *Dzień jego powrotu* utrzymuje, że zbrodniarz jest to człowiek, który się rodzi zbrodniarzem. Przed kilkudziesięciu laty dowodził tej samej tezy uczony włoski, Lombroso, na podstawie dokonywanych przez siebie pomiarów nietylko kranologicznych, ale i reszty organizmu ludzkiego, i przy pomocy statystyki, tej, w pewnym okresie naszej dumnej cywilizacji, prawdziwej królowej nauki. Coprawda, takie same pomiary i taka sama statystyka w poszukiwaniu urodzonego geniusza cokolwiek zawiodła. Lombroso uczenie stwierdza w syntetycznym artykule, że genjusz bywa wysoki i niski i średniego wzrostu; o dużej głowie i o głowie małej; że miewa oczy czarne i niebieskie i szare, że wygląda bardzo inteligentnie, ale że bywali genjusze o wyglądzie głupkowatym, że... Wystarczy tych kilka uczonych wskazówek, aby genjusza odrazu rozpoznać w najogromniejszym tłumie.

P. Zofja Nałkowska zajęła obecnie stanowisko zmarłego Lombrosa i dowodzi w swoim dramacie, że obok ludzi przejrzystych („O, ty mój przezroczysty, który nikogo nie zabiłeś!" — woła do swego kochanka bohaterka *Dnia jego powrotu*, wiarołomna żona urodzonego zbrodniarza), obok ludzi niezdolnych do zabójstwa, są tacy, którzy zabijają. Dlaczego zabijają, nie wiadomo. Zapewne odziedziczyli zbrodniczość po matce, po zacnej nieboszczce matce, może nieujawnionej morderczyni. Bo skądby się wzięła w synu ta zdolność do zabijania, skoro stary ojciec żyjący nikogo nie zabił i nie ma ochoty zabić, i jest „przezroczysty"?! Wprawdzie ten ojciec, nie przebaczający synowi popełnionej zbrodni, mówi z irytacją, nawet z pasją, że każdy człowiek zdolny jest do zabójstwa, ale na tę sprzeczność w rozumowaniu zacietrzewionego staruszka nie kładźmy zbytniego nacisku.

Ba! Czy jednak p. Nałkowska pokazała nam rzeczywiście „urodzonego" zbrodniarza? Co do tego mam dość silne wątpliwości. Bo przecież nie jest zbrodniarzem człowiek zabijający człowieka w pewnych okolicznościach.

Ksawery zabił na wojnie człowieka podejrzanego o szpiegostwo. Nie powinien był zabijać, nie zbadawszy dokładnie sprawy. Ale ostatecznie działał na podstawie głębokiego przeświadczenia, aczkolwiek za pośpiesznie, i wojna nieraz usprawiedliwia taki pośpiech: na wojnie jest się nietylko myśliwym, jest się jednocześnie i zwierzyną.

W jakieś dziesięć lat po wojnie Ksawery zabija człowieka, który mu groził, że ową „nieformalność" ze szpiegiem, nikomu nieznaną, zdradzi przed ukochaną żoną Ksawerego i przed władzami wojskowemi. Idzie za tę zbrodnię na cztery lata do więzienia, gdy za tamtem „pośpiech", jak mnie objaśnił na premjerze mój przyjaciel prawnik, groziło Ksaweremu dwa miesiące więzienia. Zabił w gniewie i przez głupotę, bo przecież ukochana żona, nie dowiadując się o tamtem zabójstwie na froncie, musiała się dowiedzieć o tem zabójstwie, popełnionem dla ukrycia tamtego zabójstwa.

Po odsiedzeniu kary wraca Ksawery do domu i dowiaduje się, że tak mile oczekująca go ukochana żonka porzuca go o godzinie szóstej z „przezroczystym" gachem. Idzie tedy do drugiego pokoju, gdzie uwodziciel mocno się już niecierpliwi opieszałością uwiedzionej, i zabija „przezroczystego". Któż się w tych zabójstwach na tle uczuciowem dopatrzy podobieństwa do morderstw „upiora z Düsseldorffu"? Ksawery jest człowiekiem zapalczywym, owszem, ale od zapalczywości do charakteru „urodzonego zbrodniarza" bardzo jeszcze daleko.

P. Nałkowska tedy wmawia w nas, że Ksawery jest urodzonym zbrodniarzem, ukazując nam w rzeczywistości „zabójcę w afekcie". To nieporozumienie autorki z samą sobą odbiło się na jej ponurym utworze bardzo dotkliwie. P. Nałkowska dowodzi swojej tezy na przykładzie,

CI, KTÓRZY USNĄĆ NIE MOGĄ

Lekarstwa na bezsenność

Sen to zdrowie — brzmi popularna maksyma. Ale chociaż każdy chce być zdrowy, nie każdy, niestety, może spać dobrze, bezsenność gnębi coraz bardziej współczesną ludzkość. Do walki z tem cierpieniem coraz energiczniej staje wiedza lekarska. Aby jednak wyleczyć chorobę, trzeba przedewszystkiem zbadać jej istotę i przyczyny.

Sen, będący wypoczynkiem systemu nerwowego, następuje tem łatwiej, im mniejsze było uprzednie ożywienie i podniecenie. Życie dzisiejsze z ciągłem przemęczaniem umysłu, ośrodków czuciowych i narządów krążenia nie sprzyja normalnemu działaniu specjalnych centrów snu i bezsenności, których istnienie udowadnia obecnie nauka. A więc kto chce dobrze spać, powinien unikać zmęczenia, co znowu w dzisiejszych stosunkach jest prawie niemożliwe, bo przecież naogół hołduje się zasadzie, że życie ma wartość tylko wówczas, gdy jest intensywne, gorączkowe, gdy daje jak najwięcej wrażeń. Żyjemy w ciągłym hałasie, w nadmiernym blasku światła, noc staje się z reguły przedłużeniem dnia, żyjemy ciągle w napięciu i nadmiernem podnieceniu. Wszystko to oddziaływuje bezpośrednio lub pośrednio bardzo niekorzystnie na nasz organizm, powodując jego nienormalne funkcjonowanie.

Ważną przyczyną bezsenności bywają zaburzenia w trawieniu. U ludzi źle trawiących obieg krwi po posiłku odbywa się nieprawidłowo, działając niekorzystnie na mózgowe naczynia krwionośne. Zbyt obfity lub zbyt wyszukany posiłek wieczorny wywołuje te same skutki, nie mówiąc już o podrażnieniu wywołanem świadomem użyciem środków podniecających, jak kawa lub alkohol.

Z pośród czynników psychicznych najczęstszą przyczyną bezsenności są cierpienia moralne lub uporczywe, dręczące myśli, których się pozbyć nie można. Prócz tych objawów, występujących u ludzi normalnych, można do tej grupy zaliczyć także przewrażliwienie i podrażnienie nerwowe. W tym wypadku wszystko może być bezpośrednią przyczyną bezsenności: najmniejszy szmer, niezwykły zapach, zbyt wysoka temperatura itp. Nadwrażliwość jest zresztą, jak wiadomo, często skutkiem nowoczesnego trybu życia, a szukanie podniecających przyjemności wywołuje potem trudności przy zasypianiu. Gdy zaś uświadomimy sobie, że w tych wypadkach zasypiamy z trudnością, gdy zaczniemy odczuwać obawę przed bezsennością, wówczas sen napewno uciekać będzie od naszych powiek.

Jakie są fizjologiczne przyczyny bezsenności? Od niedawna dopiero poczęto przypisywać tę dolegliwość nienormalnemu działaniu tak zwanych gruczołów wewnętrznego wydzielania, na które aż do ostatnich lat medycyna nie zwracała prawie uwagi, mniemając, że nie odgrywają w życiu organizmu ważniejszej roli. Doświadczenie jednak wykazało, że zmniejszenie lub zwiększenie aktywności tych gruczołów wytwarza stan chorobowy. Wpływa również bardzo na sen człowieka. Ogólnie można stwierdzić, że bezsenność jest wynikiem nadmiernej aktywności gruczołów, natomiast przy zmniejszonej aktywności objawia się śpiączka. Niejednokrotnie zaobserwowano, że zwłaszcza niedostateczne wydzielanie gruczołu tarczykowego, najważniejszego z tej grupy gruczołów, wywołuje senność, zaś zbyt obfite wydzielanie bezsenność.

Oczywiście, nie można bynajmniej dowodzić na podstawie tych obserwacji, jakoby wszyscy ludzie, cierpiący na bezsenność, należeli do tej drugiej kategorji, bo brak snu może wynikać i z innych przyczyn indywidualnych. Stwierdzono jednakże ciekawy fakt, że w wielu wypadkach okazało się skuteczne użycie przeciw bezsenności środków, stosowanych przy chorobie Basedowa, wywoływanej także, jak wiadomo, przez nadmierną aktywność gruczołu tarczykowego. Taki sam efekt osiągnięto, stosując to lekarstwo u ludzi, przemęczonych gorączkowem życiem. Tak więc wiedza lekarska znalazła środek, który da sen wielu ludziom.

Czy jest to środek jedyny? Bynajmniej. Istnieje wiele reklamowanych lekarstw przeciw bezsenności, niemal każdy człowiek wierzy w skuteczność jednego z tych licznych środków i właśnie to lekarstwo mu pomaga. Lecz medykamenty te nie są tak niewinne, jakby się mogło wydawać; ludzie bardzo często zbyt przyzwyczajają się do nich, tak że albo przestają działać, albo, co gorzej, przechodzą w nałóg. Dlatego też nie należy uciekać się do nich bez porady, a nawet wyraźnego polecenia lekarza.

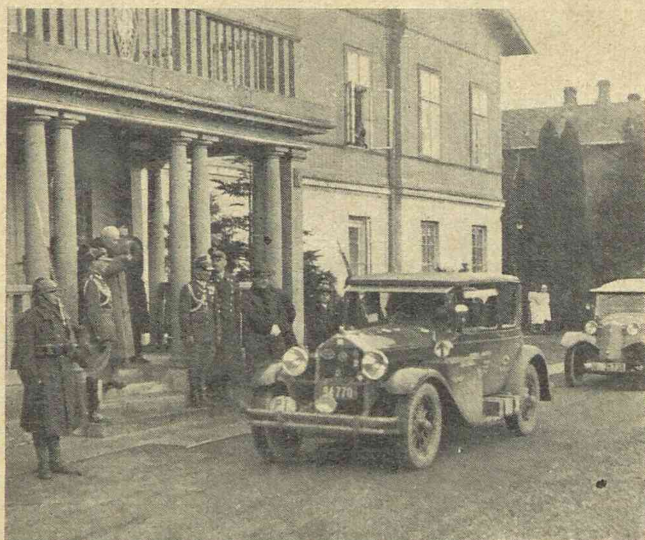
Środki te rozwiązywałyby zatem problem bezsenności, o ile chodzi o osoby chore, lub osoby, które wskutek złych warunków nie mogą się nagiąć do powszechnie obowiązujących reguł życia i odżywiania. Natomiast jeżeli chodzi o tych wszystkich, którzy mogliby spać zdrowo i smacznie, a którzy tylko nie chcą ograniczyć swych przyjemności życiowych, licząc na postępy chemji leczniczej, produkującej coraz nowe medykamenty nasenne — to ich wyrachowanie okazuje się zawodne. Nie można bowiem leczyć skutków, lecz raczej przyczyny, a więc trzeba przedewszystkiem dbać o unikanie zbędnych i zbyt częstych podniet, zwracać uwagę na menu posiłków, zmniejszać posiłek wieczorny. Ludzie źle trawiący z pożytkiem mogą spożyć przed snem trochę oliwy lub porcję pistaszków. Przewrażliwieni powinni usuwać z pokoju sypialnego kwiaty i starać się o utrzymanie niezbyt wysokiej temperatury.

Jeżeli to zawiedzie, pozostaje jeszcze jedno mechaniczne lekarstwo: należy wpatrywać się bez przerwy w jeden punkt, póki oczy odruchowo się nie zamkną. Jest to jednakże połączone z pewnym wysiłkiem woli, podczas gdy sen winien być absolutnym odpoczynkiem. Ideałem byłoby przestać myśleć, a w każdym razie nie wysilać umysłu, lecz raczej pozwolić myślom przebiegać bezładnie z tematu na temat, nie usiłując utrwalić poszczególnych myśli. Z tego stanu łatwo przechodzi się w stan sennych marzeń, po których może nastąpić normalny, głęboki sen.

W swoim czasie pewnem powodzeniem cieszyła się teorja, że na sen wpływa w znacznej mierze pozycja ciała śpiącego. Dowodzono, że najsmaczniej i najzdrowiej śpi się w pozycji z północy na południe. Nie udało się dotąd znaleźć niezawodnego potwierdzenia teorji, ale ostatecznie człowiek cierpiący na bezsenność lub źle sypiający może spróbować zastosować i tę metodę, zwłaszcza że przestawienie łóżka w tym czy innym kierunku nie jest zbyt trudnem zadaniem.

St. I.

Raid automobilowy i motocyklowy do Spały, w dniu 12 kwietnia, zorganizowany przez Polski Touring Club na cześć P. Prezydenta Rzeczypospolitej



DEFILADA SAMOCHODÓW PRZED P. PREZYDENTEM RZECZYPOSPOLITEJ W SPALE. P. PREZYDENT WIDOCZNY NA GANKU SWEGO DWORKU



W RAIDZIE BRAŁO UDZIAŁ PRZESZŁO 130 SAMOCHODÓW I PONAD 70 MOTOCYKLI. START SAMOCHODÓW NA SZOSIE GRÓJECKIEJ Fot. Jan Ryś

Nowoczesne pielęgnowanie urody

Silny prąd postępu wiedzy lekarskiej znosi konsekwentnie dotychczasowe, mgliste, teoretyczne pojęcia, szary pusty szablon dawnego lecznictwa a jednocześnie odsłania istotną treść przełomowej twórczości, zdobytej usilną pracą myślową oraz licznym szeregiem niezbitych niczem — doświadczeń. Rezultaty postępowego przełomu w różnych gałęziach medycyny nie mogły pozostać bez wpływu na lekarską kosmetykę. Runął bowiem szablon posługiwania się byle jakim uniwersalnym kosmetykiem, prysły przesądy i złudzenia, a na gruzach dawnych szkodliwych norm i praktyk zakwitła wiedza o *indywidualnem* pielęgnowaniu urody, preparatami lekarsko-kosmetycznemi, dostosowanemi do danych wymogów i wskazań. Niepodobna zatem w dobie prawdy, postępem ukształtowanej, opędzić się jednej przykrej myśli: dawania posłuchu dziś jeszcze profanom, którzy drogą pustych frazesów w ulotnych broszurach dążą do wskrzeszenia dawnego bezmyślnego szablonu. Objaw ten nas nie dziwi, ale też zgoła nie zatrważa, uświadomienie bowiem ogółu inteligencji zatacza szybko coraz szersze kręgi do takiego już stopnia, iż samodzielnie odróżnia się cerę prawidłową od tłustej, suchej lub wiotczejącej i dostosowuje odpowiedni preparat już to do zachowania po długie lata świeżego wyglądu, już to — zwalczania wad urody. Przykłady wyjaśnią najlepiej powyższe wywody. Dawniej posługiwano się do wszelkich właściwości cery jednym uniwersalnym pudrem, często — niestety — z zawartością tak szkodliwych metali, iż nie tylko skóra ulegała zanikowi, lecz i zdrowie cierpiało. Nie rozumiano, że tłusta cera wymaga odtłuszczenia i przeobrażenia w prawidłową, co dla każdej innej właściwości byłoby zgubne. Dziś poszczycić się możemy odrębnemi, roślinnemi pudrami, dostosowanemi ściśle do indywidualnej właściwości cery. Mam na myśli znane powszechnie, wykwintne pudry z przepisu D-ra Lustra: higjeniczny dla tłustej cery i egzotyczny dla każdej innej właściwości. Pudry te, wyrabiane w 12 kolorach, łączą w sobie wszelkie zalety higjeny i estetyki. Metaliczne bowiem pudry zasklepiają szczelnie pory, utrudniają zatem wymianę gazów drogą skóry, a co gorsze — warunkują przedwczesne marszczenie się skóry, w następstwie zaniku włókien elastycznych.

Uniwersalny krem stał się dziś również w świetle nowoczesnej wiedzy przestarzałym zabytkiem. W ostatniej bowiem dobie przekonano się, iż do odbudowy komórek skóry potrzebne są składniki pobudzające jej gruczoły dokrewne, tudzież lipoidy, jako budulec. Sucha i wiotczejąca cera wymagają takich właśnie składników a zawarte są w kremie „Oxa" Dra Lustra. Prawidłowa skóra wymaga tylko stałego ożywiania naskórka, co osiąga się Dra Lustra kremem „Mira". Krem znów „Ultrasol" stanowi środek ochronny dla uprawiających sporty, przed zmianami atmosferycznemi a mężczyznom odda znakomite usługi łagodzące podczas i po goleniu.

Dr. med. J. Libański

PROCES PRZECIWKO JANOWI POLAŃSKIEMU, SPRAWCY NIEUDAŁEGO ZAMACHU NA GMACH POSELSTWA SOWIECKIEGO W WARSZAWIE



POSIEDZENIE W WARSZAWSKIM SĄDZIE OKRĘGOWYM. NA ZDJĘCIU OSKARŻONY JAN POLAŃSKI, ORAZ JEGO OBROŃCY ADWOKACI ZYGMUNT I WILHELM HOFMOKL-OSTROWSCY. ZOSTAŁ ON SKAZANY NA 10 LAT CIĘŻKIEGO WIĘZIENIA

Opłacalność przewozu towaru jest zależną od jakości ciężarówki.

Nowoczesny przewóz towarów staje się opłacalnym w zależności od wielu czynników. Przedewszystkiem — od celowości konstrukcji samochodu ciężarowego. Po drugie — od niskich kosztów użycia i konserwacji. Po trzecie — od zdolności samochodu do pracy przez wiele lat bez dłuższych okresów bezczynności.

Doniosłość tego ostatniego czynnika nie może być nigdy zbyt mocno podkreśloną. Każdy dzień, który samochód musi spędzić w warsztacie, zmniejsza wartość samochodu o sumę strat, powstałych czy to przez utratę zysku, czy też przez powiększenie ogólnych kosztów.

Ciężarówka Ford — wytwór najwyższej jakości, wykonany z najlepszego materjału przez wyborowy, dobrze płatny zespół pracowników, odpowiada tym wszystkim warunkom opłacalności przewozu

Prosimy dziś jeszcze odwiedzić naszego upoważnionego odsprzedawcę, który pomoże w rozwiązaniu wszelkich zagadnień transportu.

G W A R A N C J A:

Ford Motor Company ręczy za dobroć ciężarówki Ford, gwarantując zamianę każdej części, u której zostanie stwierdzony błąd fabrykacji lub wada materjału, przyczem wynagrodzenie odsprzedawcy za dokonanie zamiany nie zostaje liczone klijentowi.

LINCOLN  FORDSON

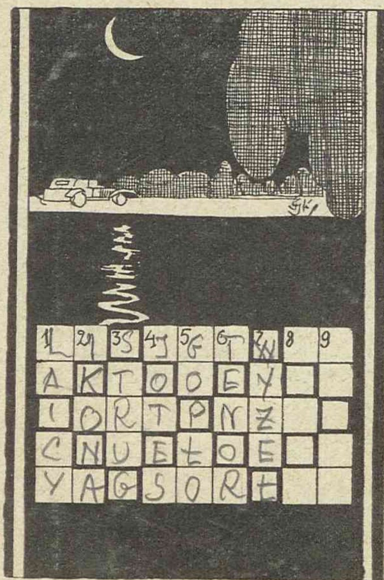
SAMOLOTY

FORD MOTOR COMPANY

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 26 ZADANIE KRYSZTAŁKOWE

(Za rozwiązanie 3 punkty)

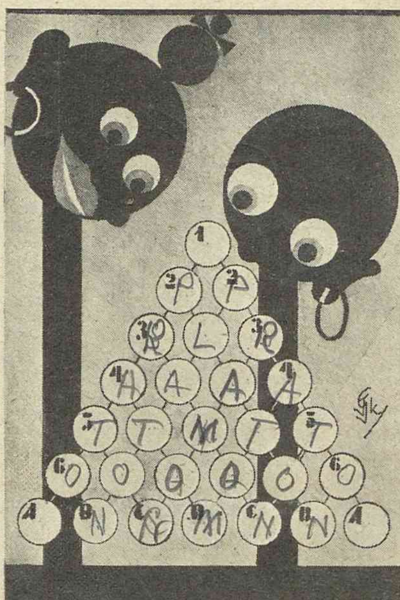


Litery należy pomieszczać w polach figury w ten sposób, aby w rzędach pionowych utworzyły 9 wyrazów o podanem znaczeniu. Litery w polach kryształków utworzą dwa wyrazy dodatkowe.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej: niekompetentni, 2. Obraz rel., 3. Powieściopisarz polski, 4. Pseudonim karykaturzysty polskiego, 5. Jezioro w Polsce, 6. Śpiewak, 7. Rasa psa, 8. Pseudonim powieściopisarza polskiego, 9. Tytuł utworu Wyspiańskiego.

№ 27 MAGICZNY TRÓJKĄT

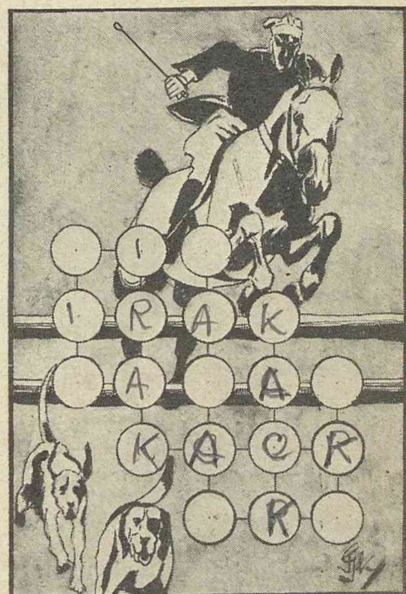
(Za rozwiązanie 3 punkty).



Litery, poumieszczane w kółeczkach, utworzą sześć krzyżujących się, czytanych ukośnie od góry do dołu wyrazów o następującem znaczeniu: 1—A: Miejscowość, słynna bitwą Greków z Persami; 2—B: Imię męskie; 3—C: Imię znanego „gwiazdora" filmowego; 4—D: Najmniejsza jednostka organiczna; 5—C: Dźwięk; 6—B: Zaimek.

№ 28 UKŁADANKA GEOGRAFICZNA

(Za rozwiązanie 3 punkty).



Litery rozstawić w ten sposób, aby utworzyły 5 wyrazów, czytanych poziomo i pionowo w tej samej kolejności.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Polsce; 2. Jedno z państw arabskich; 3. Rzeka w Afryce; 4. Miejscowość nad Polskiem morzem; 5. Miasto na Podolu (wspak).

Rozstrzygnięcie I-go konkursu kwartalnego ogłoszone zostanie w numerze następnym.

SKRZYNKA
Działu Rozrywek Umysłowych.

— **WP. dr. Florjan Nepomucki w Brześciu n/B.** — Nagrodę wysłaliśmy pocztą. Konkurs przeznaczony był wyłącznie dla prenumeratorów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że dzięki temu wyłączamy od udziału liczne rzesze najwierniejszych nawet nie-prenumeratorów, których zainteresowanie i życzliwość „Świat" wysoko ceni, pragnęliśmy jednak wskazać jeszcze jedną z pośród wielu korzyści, płynących ze stałego prenumerowania „Świata".

— **WP. Józef Krauze w Żyrardowie.** — 4 punkty za rozwiązanie zadania Nr. 9 zaliczyliśmy. Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy. Są one — obok stale wzrastającej liczby uczestników — podnietą do dalszego rozwijania naszego Działu ku zadowoleniu jaknajliczniejszych rzesz Czytelników „Świata".

— **WP. inż. Witold Niepołomski w Warszawie.** Opuszczenie nazwiska P. Inżyniera nastąpiło wskutek przeoczenia, za które uprzejmie przepraszamy. W kontroli uczestnictwa odpowiednia ilość punktów została zaliczona prawidłowo.

Rozwiązanie zadań z № 12.

№ 18. Magiczny sześciobok: Trop, Robak, Koszta. Notes, Lasy.

№ 19. Gwiazda w kole, wyrazy dośrodkowe: Zupa, Ania, Koła, Kosa, Aqua, Duda, Kasa, Luka, Aida; wyrazy w kole: Zaspa, Antek, Konik, Kawka, Dobra, Dudek, Koral, Lista, Arbuz, — **Piłsudski.**

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Berkmanowa Wacława (6), Blutstein Wacław (6), Boguszewska Irena (6), Burakowski Karol (3), Gegenmus Bohdan (6), Jakubowska Lili (6), Jarkowska Aurelja (6), Kociatkiewiczówna Zofja (6), Kopeć Jan (6), Krzyżanowski Stanisław (3), inż. Niepołomski Witold (6), Pisarski Alfred (6), Pretkielowa Stanisława (6), Redel Józef (6), Roykiewicz Wacław (6), Rucki Rafael (6), Sobstel Henryk (6), Sniolka Stefanja (6), Sopijewski J. (6), Sułkowska Leontyna (6), Tietz Zygmunt (6), Trawińska Honorata (6), Toczewski Adam (6), Wiśniewska Teofila (6), Zawadzki Ludwik (6), Zagajewski Adam (6), Zborowska Teresa (3) — z Warszawy,

oraz pp.: Baumgarten Stefan (6) — z Łodzi, Bugajska Marja (6) — z Kłobucka, Czaputowiczowa Marja (6) — z Zawiercia, Denasiewicz Kazimierz (6) — z Drohobycza, Foltowa Józefa (6) — z Łodzi, Gajdzińska Marja (6) — z Mińska na Białorusi Sowieckiej, Górski Tadeusz (6) — z Sosnowca, Iwańczykowa M. (6) — z Siernicz, Jagniątkowska Zofja (6) — z Kielc, Jarmulski Edward (6) i Jarmulski Saturnin (6) — z Modlina, Jurkiewicz Eugenjusz (6) — z Wilna, Kamiński Władysław (6) — z Sochaczewa, Kleczkowski M. M. (6) — z Sulejówka, inż. Kasiński (6) z Drohobycza, Koralski Stefan (3) — z Leszna Wlkp., Krauze Józef (6) — z Żyrardowa, Kwiekowa Jadwiga (6) — z Dobrzelina, Łukasiewicz Michał (6) — z Białegostoku, Mokrzycka Helena (6) — z Drohobycza Moszczyńkka Edward (6) — z Nowego Rembertowa, dr. Nepomucki Florjan (6) — z Brześcia, Okuszko Ludwika (6) — z Budzisławia, Ostaniewiczówna J. (6) — z Pabjanic, Piecha Franciszek (6) — z Mikołowa, Prządowa Zofja (6) — z Wilna, Rakowiecka Helena (6) — Lublina, Rutkowski Witold (6) — z Augustowa, Rzemieniecki Rudolf (6)—z Solarni, Staron Jerzy (6) — z Ostrołęki, Stasiewicz Czesław (3) — z Równego, Szymko Michał (3) — z Podbrodzia, Tobias Henryk (6) — z Kielc, Urbańska Halina (6) — ze Lwowa, Węgierski Tadeusz (3) — z Miłosnej.

Nagrody za trafne rozwiązanie poszczególnych zadań wylosowano dla:

p. inż. Witolda Niepołomskiego z Warszawy — Stefana Żeromskiego „Wczoraj i dziś", serja I i II,

p. Jerzego Starona z Ostrołęki — Antologja Jana Lorentowicza „Polska pieśń miłosna".

Rozwiązanie zadań z № 13.

№ 20. Zadanie ilustracyjne. Poszczególne ilustracje przedstawiały wykonywanie następujących czynności: 1. Telefonowanie, 2. Karminowanie ust, 3. Palenie fajki, 4. Grę na fortepianie, 5. Bawienie dziecka, trzymanego na ręku, 6. Nalewanie z butelki do szklanki, 7. Krajanie na talerzu (lewa ręka trzyma widelec), 8. Obieranie jarzyn, 9. Temperowanie ołówka, wzg. robienie papierosów, 10. Grę na banjo, wzg. gitarze.

Trafne rozwiązania nadesłali (za odgadnięcie każdej ilustracji liczono 1 punkt): pp. Berkmanowa Wacława (9), Bojarski Tadeusz (10), Boguszewska Irena (6), Jarkowska Aurelja (9), Kociatkiewiczówna Zofja (6), Krzyżanowski Stanisław (7), Legaj Franciszek (6), inż. Niepołomski Witold (6), Pisarski Alfred (8), Prawdzic Mieczysław (6), Pretkielowa Stanisława (7), Roykiewicz Wacław (10), Ryś Edward (7), Sobstel Henryk (6), Sułkowska Leontyna (10), Trawińska Honorata (8), Weryho Janina (9), Wiśniewska Teofila (7), Zagajewski Adam (8), Zborowska Teresa (5) — z Warszawy,

oraz pp.: Baczański A. (8) — z Wilna, Blokowa Henryka (6) — z Jarosławia, Denasiewicz Kazimierz (6) — z Drohobycza, Dżałówna Marja (6) — z Lublina, Jagniątkowska Zofja (6) — z Kielc, Jarmulscy Edmund (7) i Saturnin (7) — z Modlina, Jurkiewicz Eugenjusz (7) — z Wilna, Kawczyńska Marja (7) — z Płocka, Kamiński Władysław (6) — z Sochaczewa, mag. Kicki Bolesław (7) — z Nowego Miasta, Krauze Józef (7) — z Żyrardowa, Kuhny Henryk (6) — Jarosławia, Ludwicki Henryk (8) — z Zagożdżonu, Łukasiewicz Michał (9) — z Białegostoku, Mokrzycka Helena (6) — z Drohobycza, Moszczyński Edward (6)—z Nowego Rembertowa, dr. Nepomucki Florjan (10) — z Brześcia n/B., Obredowa Teodozja (7) — z Łodzi, Prządowa Zofja (8) — z Wilna, Rakowiecka Helena (6) — z Lublina, Rybczyńska Zofja (5) — z Lublina, Rutkowski Witold (6) — z Augustowa, Sumera Rudolf (6) — z Cieszyna, Sutkowska Marja (6) — z Żychlina, Szrodkówna Teresa (7) — z Poznania, Świerkowska Kazimiera (8) — z Chełma, Tobias Henryk (5) — z Kielc, Węgierski Tadeusz (5) — z Miłosnej, Zakrzewski Leon (7) — z Radomia, Zaleski Czesław (6) — z Kalisza, Życzyński Bohdan (7) — z Nowogródka.

NAGRODĘ — w postaci pięknego flakonu perfum „Gardenia" firmy „Coryse" — wylosowano dla D-ra **Florjana Nepomuckiego** z Brześcia n/B.



IRENKA GETREY, MŁODZIUTKA TANCERKA, KTÓREJ WYSTĘPY W KRAKOWIE WYWOŁAŁY ISTNĄ SENSACJĘ, A KTÓRA NIEBAWEM MA POKAZAĆ SIĘ NA JEDNEJ ZE SCEN WARSZAWSKICH

Wicemiss Polonja na ślubnym kobiercu

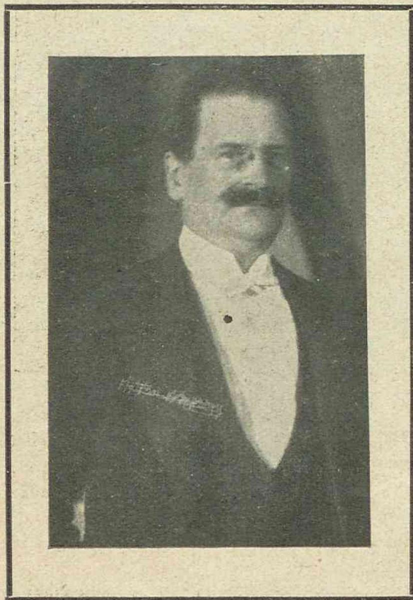


W DNIU 8 KWIETNIA B. R. W OŁYCE NA WOŁYNIU ODBYŁ SIĘ ŚLUB P. LARYSY WINKOWSKIEJ (Z POZNANIA) Z P. WACŁAWEM BACZYŃSKIM, OBYWATELEM ZIEMSKIM

Fot. Photo-Plat.

Zgon wybitnego artysty

Dnia 13 bm. zmarł w 71 r. życia w Warszawie znany śpiewak, reżyser i artysta dramatyczny ś. p. Henryk Kawalski. Rozpoczął swoją działalność, jako basista, obdarzony soczystym, barwnym głosem, w operze lwowskiej. Przez szereg lat śpiewał w zespole Opery warszawskiej. Był sekretarzem teatru Rozmaitości i grywał



Ś. P. HENRYK KAWALSKI

z dużem powodzeniem role charakterystyczne. Po wojnie pełnił obowiązki pierwszego reżysera Opery warszawskiej. Od kilku lat przebywał na emeryturze. Ś. p. Henryk Kawalski, jako człowiek niezmiernie towarzyski, dowcipny, uczynny, cieszył się powszechną sympatją.

Przez kilka lat pisywał recenzje muzyczne i teatralne.

Zgon ś. p. Henryka Kawalskiego wywołał, żal głęboki wśród szerokich kół związanych z teatrami warszawskiemi.

W kwietniu

Prenumeratorzy „Świata" otrzymają miast zapowiedzianej powieści W. Williamsa p. t. **„Walka o tajemniczy dokument"**, znakomitą również powieść głośnego rosyjskiego pisarza B. ŁAWRENIEWA p.t.

„DRZEWORYT"

Pisarz ten zdobył sobie międzynarodową poczytność świetną książką p. t. „Biała Śmierć". **„Drzeworyt"** jest równie atrakcyjną lekturą.

Powieść W. Williamsa otrzymają nasi Prenumeratorzy w następnym miesiącu.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Henryce St. W twardej wodzie, a szczególniej wapiennej, myć twarzy stanowczo nie można, gdyż nic tak nie niszczy cery, jak woda nieodpowiednia do mycia. Radzę zmiękczyć wodę proszkiem *La Mollette*, którego łyżeczkę rozpuścić w ½ — 2 litrach wody, a wtedy dopiero myć twarz. Co się tyczy wągrów, to usunie je pani, stosując *płyn Pureol*. Przytem myć twarz nie mydłem, ale *Otrąbkami Abaridowemi*, no i żadnych tłustych kremów nie używać. Jedynie nietłusty *krem Abarid*, który się wciera do sucha, odżywia tkankę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

Czytelniczce. Usunie łupież i zapobiegnie wypadaniu włosów *płyn Tetral*. Już po paru użyciach zobaczy pani skutek. Włosów utleniać nie można, gdyż przy użyciu wody utlenionej łamią się, kruszą i mają brzydki płowy kolor. Aby utrzymać jasny kolor włosów, radzę rozjaśnić je *płynem Hella*, który nadaje b. ładny złocisty odcień i jest zupełnie nieszkodliwy.

P. Helenie S. w Wilnie. Wogóle na wszelkie defekty skóry mógę Pani śmiało polecić *płyn wschodni Mimoza*, który cieszy się nadzwyczajnem powodzeniem i uznaniem u moich Klientek. Wszelkie pryszcze, łuszczenie się, wągry i plamy giną przy użyciu *płynu Mimoza*. Na noc myć twarz *otrąbkami Abaridowemi* w dobrze ciepłej wodzie i cienko natrzeć nietłustym *kremem Abarid*. Rano można twarzy nie myć, lecz wytrzeć watą, zmoczoną w *Mimozie*. Dobrze jest stosować *wschodni płyn Mimoza* parę razy dziennie; można go użyć i pod puder. Przy wrażliwej cerze skłonnej do plam, pryszczy i wągrów, nie można używać stale tłustych pudrów. Do stałego użytku polecam najlepszy z istniejących nietłustych pudrów, a mianowicie *puder Abarid*, który już od lat 30 cieszy się zasłużonem powodzeniem.

P. K. P. we Lwowie. Gęsią skórkę z łokci usunie pani, stosując *krem prałatów*, który idealnie wygładza ręce i nadaje im aksamitną delikatność i miękkość. Aby ręce wybielić, radzę na noc po natarciu *kremem prałatów* grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida*. To samo radzę stosować i do wybielania biustu. Do mycia twarzy radzę stosować otrąbki Abaridowe, które doskonale oczyszczają pory skóry, jednocześnie ściągając takowe. Krem do twarzy używać tylko *Abaridowy*, który oczyszcza skórę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

M-me Ercèdes

Środki te nabywać można w pierwszorzędnych perfumerjach i drogerjach. Skład główny: *Warszawa, Perfumerje „Perfection"*.



HUMOR ZAGRANICZNY



W OGRODZIE ZOOLOGICZNYM.
— Tatusiu, jeśli karmić zwierząt nie wolno, to jak one żyją?

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa

Humor zagraniczny

W salonie.

— Ile też pani ma lat? — pyta panny Kazi starszy wujaszkowaty pan.

— Osiemnaście!... — rezolutnie odpowiada panna Kazia.

— Ależ, trzy lata temu mówiła mi pani to samo...

— A co pan chciał? Mam zmieniać zdanie, jak każdy mężczyzna, który dziś mówi to, a jutro co innego!

*

Astronom do współczesnej panny, wzdychając:

— Czy też pani zna nazwy jakich gwiazd?

— Greta Garbo, Dolores del Rio, Pola Negri... — odpowiada rezolutnie dziewczę.

*

W kawiarni przy stoliku filozofów.

— W jakim miesiącu kobieta najmniej mówi? — rzuca pytanie starannie wygolony, wymonoklowany mędrzec...

— W lutym, bo najkrótszy!... — odpowiada wesoło rozczochrany, zarośnięty jegomość.

*

Docent do starego profesora:

— Panie profesorze, chciałbym się ożenić z pańską córką.

— A mówił pan już z moją żoną?

— Mówiłem, i mimo to chcę się ożenić!

*

W więzieniu.

Prokurator do aresztanta:

— Niebawem kończy się termin pańskiego zamknięcia. Przypuszczam, iż ma pan dobre plany na przyszłość...

— O tak! Marzę o podkopie pod bank, mam też na widoku skład jedwabi.

*

Rozmówka towarzyska między literatami:

— Z czego też on żyje?

— Z pisania.

— Nigdzie go nie drukują?

— Bo on pisze po pieniądze do ojca.

*

Lekcja gramatyki.

— Jak będzie czas przyszły od kochać?

Jędruś po namyśle:

— Żenię się.

HUMOR ZAGRANICZNY



— **Mam tyle kłopotów, że po nocach wcale nie sypiam.**
— **Cóż na to robisz?**
— **Sypiam w dzień.**

(Le Rire)

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt.	Zł. 700.—
„ II	„ 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—
„ III	„ 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50
„ IV	„ 600.—, 1/2 300.—
Przed powieścią. . . .	Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Kolportaż" Sp. z ogr. odp. Plac Napoleona 3, tel. 745-09.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
Szpitalna 12. Tel. Administracji 504-00 i 501-51
KONTO CZEKOWE P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet **L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., z odnoszeniem do domu 6.50 zł., na prowincji miesięcz. 7.— zł., kwartalnie 21.— zł. Zagranicą miesięcznie 9.— zł.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

